

PERYFERIE

Rozdział 1.

Tak, tak, proszę pana, skoro już pan przyszedł i był umówiony, to ja zaraz powiadomię i wejdzie pan do niego, tylko bardzo proszę, aby nie zajął pan mu dłużej niż dwie godziny. Jest przemęczony, powiedziałabym więcej, zmęczony życiem, choć przecież nie jest stary, o nie, dobiega zaledwie siedemdziesiątki, ale pamięć ma niezawodną; im głębiej zanurza się w przeszłość, tym więcej pamięta, typowe, prawda, dla naszego wieku; nie mówię o pańskim, rzecz jasna, bo pan młody, powiedzmy, że w średnim wieku, więc jeszcze nie czas na taką retrospekcję. Widzę u pana notatnik i dyktafon... tak to teraz się nazywa? Dyktafon? Ja wiem, bo on sam polecił mi kupić i nagrywa swój głos. Już dwie karty pamięci wymienił. Pan się uśmiecha, że ja, stara kobieta, operuję takim słownictwem, ale to wszystko przez mojego wnuka; to on właściwie zakupił dla niego ten sprzęt do nagrywania i wytłumaczył mi, jak to wszystko działa, więc wiem.

To bardzo dobrze, że on pana zna. Ja niestety nie miałam z panem przyjemności... choć może się mylę. No, niech pan powie, zaledwie cztery kilometry, a ludzie nic o sobie nie wiedzą... To moja wina, bo, widzi pan, ja z miasteczka prawie nigdy nie wyjeżdżałam. Tylko tutaj, to dziwne, prawda... ale gdzie mi tam po świecie się włóczyć, skoro tutaj jest moje miejsce, tu mój świat: rodzina, znajomi, domek po rodzicach z ogródkiem. Wydaje mi się, że nigdy nie byłam samotna, choć męża nie miałam. Pan pewnie zastanawia się, dlaczego, skoro mam wnuka? Cóż, los tak sprawił, ale przecież nie przyjechał pan po to, aby dowiedzieć się czegoś o moim życiu, choć pewnie i o mnie pan wspomni, bo jeżeli zamierza pan ogarnąć całe jego życie, to niewielką część spędziłam właśnie z nim.

Czy to prawda, że autor, literat pisze właściwie jedną książkę w życiu? On tak mówi, zawsze to powtarza, że nie sposób pisać inaczej: tematy się zmieniają, okoliczności, zdarzenia, a klimat pozostaje ten sam... tak, on mówi o klimacie; to niedookreślone

pojęcie, które jednak sprawia, że poznajemy czyjś charakter pisma - tak się wyraził - charakter pisma, ale ja wiem, o co mu chodzi.

Jeszcze piętnaście minut. Punktualnie o siedemnastej podejść do drzwi i zapukam - natychmiast się obudzi. Pan zapewne jest zdziwiony tym, że tak bardzo przestrzegam tej godziny... i on przestrzega, i naprawdę budzi się automatycznie po przespaniu półtorej godziny. W okresie zimowym robi sobie drzemkę o godzinę wcześniej. Podczas tej drzemki biorę książkę i czytam, a potem, kiedy już się obudzi, a ja skończę czytać, podaję mu ciasteczka, herbatę i kieliszek koniaku. Właściwie to spędzamy ten czas razem. Dzisiaj przyszedł pan, nie szkodzi, że trochę wcześniej, bo lubię rozmowy z ludźmi, którzy przychodzą do niego i niech pan sobie wyobrazi, że zwykle bywają u nas gości o tej właśnie porze, po popołudniowej drzemce i mam nadzieję, że nie pogniewa się pan o to, że zanim odbędzie z nim rozmowę, wypijemy herbatkę w trójkę... i oczywiście ten koniaczek z ciasteczkami. Wie pan, u nas to rytuał. Potem mogę się usunąć w cień, choć jeśli pan pozwoli, to będę przysłuchiwać się waszej rozmowie; może sama coś dopowiem, bo ja przecież całe życie spędziłam w tym miasteczku, a panu chodzi o to, aby je opisać, miasteczko i okolice, ludzi, których się pamięta; także tych, których już nie ma z nami.

Ja też znam wielu ludzi... pan wie, ja w domu kultury pracowałam od samego początku. To nie tak, że jakoś wybitnie się starałam, zabiegałam, szukałam znajomości, o nie... skończyłam liceum plastyczne, a ówczesny kierownik poszukiwał kogoś, kto będzie potrafił umaić ten gmach, nadać mu życie kolorem, rysunkiem, plakatem i hasłami. Skusił mnie tym, że daje mi wolną rękę jeśli chodzi o dekorację sal i tym, co ma się znaleźć na wielkich tablicach w parku przed budynkiem. Marzyłam wprowadzić o studiach na Akademii, ale kierownik przekonał mnie, że w tym miejscu będę potrzebna. A jeśli będziesz chciała malować, mówić, maluj, sam ci kupię wszystko, co tylko będziesz potrzebowała, ale zostań z nami; tu jesteś potrzebna, powtarzał... co miałam robić? Skusiłam się i wkrótce sama stwierdziłam, że postąpiłam słusznie,

bo miałam chorą matkę (ojciec zginął na wojnie), a idąc na studia, musiałabym ją zostawić samą... rozumie pan, a tego nie chciałam. I tak zostałam w domu kultury aż do emerytury. Może i o tym warto napisać?

A z nim jestem już od dziesięciu lat. Nie wiem, czy to pana zainteresuje, nie chciałabym się narzucać; w końcu w naszym miasteczku jest tylu interesujących ludzi, a ja to już chyba na samym szarym końcu... ale wie pan, on powiedział kiedyś, że chciałby ze mną spędzić resztę swojego życia, że starość nie znosi samotności. Uśmieje się pan, ale wyraził się, że potrzebna mu jest opiekunka... a miał wtedy dokładnie pięćdziesiąt dziewięć lat, więc był jeszcze młody. Gdzież to się myśli w tym wieku o starości? A on myślał. No i dogadaliśmy się. Początkowo myślałam, że proponuje mi ślub. Jak ja się tego bałam, dziwne, prawda? Że kobieta, że każda kobieta to tęskni za taką życiową przemianą, a ja? Ja nie chciałam wychodzić za niego i nie wiem, czy on to czuł, czy odgadywał moje myśli, ale nigdy nie proponował mi małżeństwa. I wie pan, któregoś dnia powiedział, że sprzeda swoje mieszkanie i wprowadzi się do mnie, no i że te pieniądze ze sprzedaży mieszkania to się nam przydadzą i będę miała na farby... no i że będziemy sobie mogli trochę pożyczyć, bo sam pan wie, jak to jest z emerytami na starość: i choroby się wdają, i trzeba sobie na czarną godzinę odkładać. No i stało się tak, jak zaplanował: przeniósł się do mnie i nie minęło pół roku, jak spieniężył swoje mieszkanie; przeniósł się do mnie z całym swym dobytkiem, głównie z książkami, swoimi papierzyskami, biblioteczką i starym kredensem. Resztę pozostawił w starych murach, bo on, prawdę mówiąc, nie miał nic cennego poza tym, co wwiózł do mnie furgonetką i co przynieśli jego uczniowie. Całe miasteczko huczało. Dziwiono się, że pan profesor liceum w wieku jeszcze nie sędziwym, decyduje się na taką zmianę w swoim życiu. Jakoś ta zmiana nie pasowała do niego: stateczny, zasiedziały, jeden z trojga polonistów, łacinista, szanowany, bez nałogów, nierzucający się w oczy poza swoją pasją nauczania emigruje ze swojego uroczego

mieszkanek nie opodal szkoły i udaje się na przedmieście do wcale niepięknego domku, do kobiety młodszej od niego o lat dziesięć, z którą chce przeżyć resztę swego życia na kocia łapę, do kobiety, która związała się była jeden jedyny raz z człowiekiem, z którym miała dziecko i w przypiływie nagłej złości przegnała amanta na cztery wiatry, wybierając samotne wychowanie swej pociechy, pracę, którą wypełniała jej życie i realizowała się w produkcji obrazów w oleju i akwareli, które po dzień dzisiejszy obrastają kurzem na strychu.

I stało się coś, na co oboje nie byliśmy przygotowani: otworzyły się drzwi od pokoju profesora, który chwilę później przekroczył próg i odnajdując mnie, siedzącego za stołem, wzrokiem zdradzającym bezwarunkowe pozbycie się snu, przywołał mnie skinieniem dłoni i zawołał:

- Panie Karski, myślę, że to co pan napisał, to cośmy uzgodnili, jest do zaakceptowania. „Już po czwartej budzi się ptactwo, otrzepując skrzydełka z nocnej mgły”. Anno, napijesz się z nami koniaczku, prawda?

Rozdział 2.

Już po czwartej budzi się ptactwo, otrzepując skrzydła z nocnej mgły. Najbardziej krzykliwe są wtedy wróble, których odwieczne zamięłowanie do stadnego życia potrafi skutecznie zakłócić wczesnoporanny odpoczynek każdemu mieszkańcowi naszego miasteczka, choć pora przedświtów jak żadna inna przydusza oczy do snu jak kłoda padłego drzewa i wciska potargane, spocone włosy w głąb poduszek. Kiedy jednak ktoś taki jak ja wstanie przedwcześnie, rozbiwszy mechanizm dobowego zegara, otworzy okno, pragnąc nasycić nozdrza lepkiem powietrzem świtania, znajduje w odgłosach ptasich przekomarzań gwar targowiska w godzinach największych zakupów i ów "ludzki" hałas staje się mu bliższy do zniesienia. A kiedy błysnie czerwona lampa słońca, dopieroż rozgardiasz wszelkiego stworzenia poczynają instrumenty swe stroić. Nie tylko już ptaki ale i psów przygodne

gangi, i koty - samotniki zapowiadają miastu nowy dzień. Dawniej dodawałem do tego muzycznego krajobrazu odgłosy dobywające się z obór, chlewików i stajni. Konie, krowy, prosięta, kaczki i kury - cały ten zadomowiony zwierzyniec przechowywany tak w centralnej części miasteczka, jak i też rozpostarty po peryferyjnych podwórkach nieuchronnie przywodził na myśl fakt, że Żytowo od niepamiętnych czasów pachniało wiejską przygodą, zwłaszcza w jarmarki i dni targowe. Dzisiaj budzące się do życia miasteczko rozbrzmiewa stopniowo i powoli rechotem silników samochodowych i motocykli, odgłosami pierwszych przechodniów, ich prędkimi rozmowami, kasznięciami, stąpnięciami uczynionymi na chodnikowych płytach, aby w końcu dostroić ów gwar do coraz to hałaśliwszych zawołań natury.

Tego dnia wstałem wcześniej, przed piątą, zerwawszy się z łóżka natychmiast po przebudzeniu, mając świadomość, że każda minuta dłużej spędzona w pościeli doprowadzi jedynie do napływu kolejnej, niepożądanego fali snu. Nie chciałem do tego dopuścić, gdyż lubiłem być świadkiem letnich przebudzeń słońca, nawet jeśli miało mnie to kosztować poczuciem senności za dnia, z koniecznością zażywania popołudniowych drzemek. Zamiast przemywania oczu w zimnej wodzie podszedłem do okna i otworzyłem je na oścież. Wilgotny oddech przedświt orzeźwił mnie mocnym chluśnięciem w twarz. Patrzyłem na kamieniczki po drugiej stronie ulicy. Odnowione łagodną, pastelową, kremową farbą spały jeszcze pogodnym snem otoczone kurtyną nie do końca przezroczystego powietrza. Niewielkie, dwuskrzydłowe okna zaciągnięte firankami podpowiadały, że domownicy śnią jeszcze nocne obrazy podświadomego życia, tak ciepłe, jak ciepłym zdawał się być pastelowy kolor posesji jakie zajmowali. Zwykle w takich sytuacjach, o tak wczesnej porze niedorośłego dnia poddawałem się myślom wirującym w takt pulsującego zimnego powietrza. Gdyby ktoś przypadkiem budząc spokój porannej ciszy w jakiej tkwiłem, pomimo ptasich kłasków, gdyby ktoś zapytał mnie o czym myślę, wychylając poza krawędź gzymsu, nie potrafiłbym udzielić

właściwej odpowiedzi. Być może moje poranne wstawanie mieściło się nadal w granicach snu, a sen nigdy nie bywa w pełni świadomym zwierciadłem życia. Możliwe, że miałem satysfakcję z bycia strażnikiem miasta, wartownikiem, któremu przypadł zaszczyt ochrony osób i mienia podczas ostatniej zmiany warty. Kto kiedykolwiek pełnił służbę wartowniczą na krawędzi nocy i dnia, ten wie jak odpowiedzialną wypełnia się funkcję właśnie wtedy, gdy najtrwalszy sen dopada zniecka w czasie, gdy rodzi się jasność grzebiąca nieokreślone cienie i mroki zastygłych budowli miasta. Być może pomyślałem wtedy, że powierzenie mi zadania ochrony snu obywateli naszego miasteczka uczyniłoby mnie najszczęśliwszym z ludzi. I dalej - jeśli kiedykolwiek wcześniej żyłem jako człowiek pod inną postacią, musiałem być strażnikiem bram miejskich, i to tym, któremu przydzielano zawsze zadanie jakie wypełnia władca kurnika. Kim innym jeszcze być mogłem? Poruszam się na skrzydłach wyobraźni. Siewcą i oraczem, nauczycielem, mnichem, poetą, żeglarzem, i kim tam jeszcze. Nowa potargana myśl - czy nie jest tak, że czasami uświadamiamy sobie ów szczególny pociąg do osoby, która osiąga w życiu nasze pragnienia, podczas gdy my jesteśmy jedynie tego świadkami i cicho, czasem bezwiednie, kibicujemy tej osobie? Rodzimy w sobie uczucia od zawiści po uwielbienie. Milczymy jednak nie chcąc zdradzić się z własnej słabości albo też bałwochwalczo godzimy się na przebywanie w cieniu zjawiska, którego nie staliśmy się podmiotem. Czym wytłumaczyć tylokrotne zauroczenia postaciami z przeszłości, których losy przeżywamy w dwójnasób, niejednokrotnie gubimy się w ich życiorysie, myślimy ich myślami, działamy w sposób wyznaczony ich czynami. Może jest tak, że Stwórca w swej dobroci podzielił człowieka na części, umożliwiając mu czynienie tego wszystkiego, co mieści się w jego pragnieniach. Rozdzielił człowiek i porozrzucił cząstki swego potomka po świecie w czasie i przestrzeni, aby nie ustawano w poszukiwaniach brakujących atomów swego jestestwa. Stąd gonimy jedno za drugim, dobre za dobrem, zło za złem, mieszamy nasze kody, a

każdy z nas jak magnes przyciąga i odpycha zarazem naszego brata i siostrę, nie zawsze wiedząc dlaczego to czyni. To bardzo prawdopodobne, że tylko jeden jest człowiek na ziemi, lecz pomnożony miliardami lustrzanych odbić, ułomnych krzywizną szklanych tafli, ustawionych na ścianach wyimaginowanej przestrzeni w formie kulistej rotundy. Tyle nas jest ile kątów spojrzeń, ile odległości między nami, ile woli do połączenia się z naszą zagubioną we wszechświecie resztką. Wciąż rodzimy się nowi, wystarczy wzrokiem zaczerpnąć ku nieskończoności odbicia. Lecz zło jest w nas i będzie dopóki nie odepchniemy na skraj konstelacji naszych dysydentów, póki nie uwierzymy, że tak jak można żyć bez ręki czy nogi, można istnieć nie spełnionym do końca, pozbawionym magnetycznej siły przyciągającej zło. Lepiej nie mieć złego brata niż pozwolić, aby jakiś szaleniec rozbił głową całą strukturę zwierciadła.

Zbiegam z omszałego, ociekającego dżdżem gzymsu wyobraźni. Znów stoję nad miastem. Z okna poddasza witam wschód słońca, lecz paradoksalnie, przyjmując na twarz soczyste promienie słoneczne, moje ciało drży od narastającego chłodu. Wiem, że minie jakiś czas, aż dreszcze przejdą niepostrzeżenie. Schodzę wzrokiem niżej, na ziemię, na ulicę pokrytą granatową płaszczyzną asfaltu, która przykrywa dawniejsze kostki trotuaru, śliskie podczas deszczu i wydające snopy iskier przy zetknięciu z podkowami końskich kopyt. Słyszę pierwsze, należące do ludzi odgłosy dnia. Na którejś z przecznic przemyka samochód, potem drugi i trzeci. Słyszę wyraźnie ciężki diesłowski rechot jednego z silników i odgaduję, że grubo przed szóstą do sklepiu Bartelskich przywieźli pieczywo z piekarni, która zresztą również do nich należy, lecz usytuowana jest na zachodnich rubieżach miasta. Już przed szóstą w sklepiu Bartelskich jest gwar i jeżeli chcecie skosztować ciepłych, chrupiących bułeczek, by później posmarować je w domu masłem i zaciągnąć dżemem, popić to świeżym mlekiem (również od Bartelskich), jeżeli chcecie usłyszeć pierwszy raz tego dnia ludzkie gadanie, odebrać pierwszy komentarz dotyczący

wczorajszych wydarzeń w mieście, kraju i na świecie, musicie koniecznie zjawić się tutaj przed szóstą. Ktoś powiedział, że jeśli jest coś równie trwałego w mieście jak sięgająca niskich chmur wieża kościelna, to jest tym stary Bartelski ze swoją rodziną i całym ich "kramem", który prowadzą od niepamiętnych czasów. O nich wszystkich zdałoby się kiedy oddzielną książkę napisać.

Mijają minuty a moja ulica zaczyna pobrzmiwać dźwiękami otwieranych okien, odgłosami rozmów przechodniów, którzy niepostrzeżenie pojawiają się w bramach kamieniczek, kierują się do sklepu Bartelskiego i jeszcze dalej, do warsztatów pracy, znajomych, rodziny. Przejeżdżają auta, rozróżniam marki samochodów i w większości rozpoznaję ich właścicieli. Kobieta z przeciwka wychodzi na spacer z psem, aby po przejściu kilkunastu kroków natknąć się na siwiutkiego jegomościa, schylającego dostojnie kapelusz na jej powitanie. Potem idą już razem, wpadają w wir towarzyskiej rozmowy; on - na temat jej pieska, ugrzecznionego, cichego i potulnego pekińczyka o śpiewnej nazwie Flo; ona - na temat pogody, pięknie wyprasowanej koszuli starego człowieka i jego butów, wiecznie mieniających się w słońcu i w deszczu. Z tej samej bramy przeciwległej kamieniczki wybiega po pewnym czasie czterdziestokilkuletni mężczyzna ubrany w sportowy dres. Biegnie w przeciwną do tamtych dwojga stronę, uliczką wyprowadzającą go na północny skraj miasta, skąd niedaleko już do pozostałości sosnowego lasu, w którym powietrze pachnie o każdej porze roku żywicą i igliwem. Mężczyzna okrąży ten las, zrobi kilka ćwiczeń gimnastycznych z wykorzystaniem pni drzew, pospaceruje po utartych ścieżkach i wróci biegiem do miasteczka, zdążywszy jeszcze zrobić zakupy przed wieloma mieszkańcami ulicy, którzy o tej porze optukują dopiero zasypane piaskiem snu oczy.

W oknach coraz więcej światła, choć przy tak pogodnym poranku wkrótce zgasną, dając pierwszeństwo dziennemu światłu słońca. O tej porze powolne sylwetki ludzkie przechadzają się po pokojach, rozsuwają zasłony i firanki, witają się z tymi, co na ulicy

wracają z zakupów, dostają się do kuchni, gdzie często nastawiają wodę na gaz, włączają radio, kopcą papierosy, przebierają się lub znikają w ciemnych łazienkach, aby obmyć twarz, załatwić potrzeby i pomyśleć o tym wszystkim co ich czeka dzisiaj. Gwiżdżą czajniki i trzeba by zrobić kawę lub herbatę, naszykować pieniądze na kupno chleba, którego akurat zabrakło, zbudzić męża, żonę, dziecko, pogawędzić z psem, który skomli za powietrzem, trawnikiem i krzakiem.

Tuż przed szóstą przejeżdża ulicą miejski autobus zabierający z przystanków zaspanych ludzi zdążających na dworzec kolejowy, a stamtąd do pracy w większym mieście. Latem autobus posiada wiele wolnych miejsc, gdyż nie ma w nim młodzieży, która w roku szkolnym również korzysta z niego, aby dostać się do szkół poza Żytowem. Odprowadzam wzrokiem autobus, którym sam kiedyś jeździłem każdego niemal dnia i zastanawiam się dla ilu z tych ludzi przestanie on być potrzebny, co będzie się wiązało z ostatecznym zerwaniem więzi z naszym miastem.

Wreszcie o szóstej rozbrzmiewają kościelne dzwony i byłoby zgrozą pozostać o tej porze w łóżku, zwłaszcza w lecie, gdy każda minuta zbędnego snu powinna powodować wyrzuty sumienia. Miasto zaczyna żyć modlitwą w świątyni, zaczyna snuć opowieść o kolejnym dniu, która może kiedyś zostanie spisana przez kronikarza.

Rozdział 3.

Wydobyłem go z gniazda os, zarzuciłem na niego sieć, tak jak kiedyś, gdy wsunąłem rękę do dziupli, w której dzika kotka wychowywała trójkę swych zapchlonych, wiecznie głodnych dzieci. Znajomy, który wtedy był świadkiem, jak wkładam rękę w zmurszałe wnętrze pochylonej zachodnim wiatrem wierzby, przestrzegał mnie przed tym, tłumaczył, że wystraszona kotka rzuci się na moją dłoń z pazurami, a wyryte przez nie rany goją się z trudem. Ale moja dłoń oparła się przestrogom i wysuptywała po kolei trzy małe kocięta z ledwie otwartymi oczami przy milczącej

dezaprobachie ich przestraszonej, lecz rozumnej matki, która instynktownie podejrzewała, że nie zamierzam uczynić krzywdy jej potomstwu. Tak się stało. Schowałem te małe do torby (kotka - matka podążyła za mną pomiaukując od czasu do czasu), powróciłem do domu, gdzie na strychu znalazłem dla nich schronienie. Tam czekało na nie miękkie pościeło i dwa spodki; jeden z mlekiem, drugi z wytrybowanym z kości wieprzowym mięsem.

- Potrzebuję kogoś, kto spisałby wszystkie moje wspomnienia i opowieści - powiedziałem do niego w antrakcie rozmowy na temat jego podróży po wybrzeżu.

- Panie profesorze, a dlaczego nie opisze pan tych wspomnień osobiście? - zapytał.

- Ręce mi drżą i nie wiem, jak się do tego zabrać. Pani Zofia poleciła mi pana. Był pan jej najlepszym uczniem.

Pochlebilem mu, przywołując tę prawdziwą opinię o nim polonistki, mojej starszej koleżanki, która ostatnie lata swego życia, przytłumiona samotnością i zdruzgotana przez chorobę Parkinsona spędziła w domu pogodnej (czy aby na pewno?) starości. Wróżyła mu karierę literacką, której jednak nie zrobił, porzucając studia filologiczne, dla, no właśnie, z jakiego powodu? Nie wytrzymał presji „wielkiego świata”, w jaki wstąpił z bagażem braku wiary w siebie, we własne możliwości, a ponadto w swoim młodym życiu prowadził bezskuteczną walkę ze swoją nieśmiałością, wrażliwością motyla nieradzącego sobie z byle powiewem wiatru, wilgocią porannej mgły i duszącym powietrzem letniego upału.

Spotkałem go w klubie, gdzie w każde sobotnie popołudnie zaopatrywałem się w prenumerowane tygodniki. Miałem zwyczaj zamawiać kawę i czekoladowe ciasteczka (powtarzałem to zamówienie dwa czy trzy razy) i dwie godziny spędzałem przy stoliku pod oknem, z którego miałem najlepszy widok na usytuowane wśród parku boisko piłkarskie; późnym popołudniem w soboty pierwsza albo druga drużyna rozgrywała na nim mecze. Był już po drugim, trzecim, albo i czwartym piwie, wymykał się co jakiś czas do toalety, powracał, zamawiał kolejny kufel i rozgrywał sam z sobą

partię szachów na podstawie zapisków posunięć zamieszczonych w jednej z gazet.

- Wie pan, profesorze, jak bardzo żałowałem i żałuję swojej decyzji? Czuję się tak, jakbym popełnił jakieś przestępstwo - mówił do mnie. - Jest mi wstyd, że nie dałem rady, choć było mnie stać na ukończenie studiów. Byłem zakochany i ta miłość... rozumie pan... femme fatale.... nie potrafiłem się skupić. O tym nikt nie wie, panie profesorze; nie wie matka, rodzina, znajomi. Przegrałem. Jak ja w oczy spojrzę pani Zofii?

- Nie jest jeszcze za późno - uspokajałem go, a potem mentorskim tonem starałem się go skarcić, ale w taki sposób, aby odezwała się w nim ambicja młodego człowieka, który pomimo złych życiowych doświadczeń, pragnie jeszcze czegoś dokonać w życiu. - Niech pan sobie wyobrazi, panie Adamie, że damę panu szansę zrehabilitować się i sprawić, aby mógł pan bez obawy spojrzeć pani Zofii w oczy. Przede wszystkim powinien pan przestać pić i wziąć się w garść, do czego alkohol nie jest konieczny... i w końcu niech pan wreszcie uwierzy w siebie. Warto.

Rozdział 4.

Tak, panie profesorze, poczułem w sobie odmianę po tej rozmowie w klubokawiarni na piętrze budynku, który mieścił w sobie i piłkarską szatnię, i siłownię, i bibliotekę, i pokoje, w których odbywały się lekcje muzyki, i magazyny. Kiedy pana pożegnałem (już wtedy przeczuwałem, że dzieje się ze mną coś niezwykłego) wypłem jeszcze jeden kufel piwa z myślą, że będzie to ostatni kufel tego dnia i tych kilku dni następnych, że muszę na trzeźwo podejść do pana propozycji, będących jeszcze w stadium wizji, nie rzeczywistości, lecz wizji tak bliskiej, jak pana spojrzenie na mnie w pewnej chwili, kiedy wspomniał pan o tym, że potrzebny jest mu kronikarz opisujący dzieje miasteczka i okolic, ale także ludzi, w tym mnie, niepodejrzewającego się o możliwość współuczestnictwa w wykreowanej przez pana opowieści.

O ile sam pomysł utrwalenia w formie pisemnej istotnego, jak myślę, fragmentu życiorysu miasteczka i okolic, wydawał mi się godny uwagi i wart zachodu, o tyle miałem wątpliwości co do tego, czy moja skromna, niewiele znacząca postać, którą sugerował pan umieścić w naszej wspólnej opowieści, nie okaże się przysłówiowym niewypałem. Byłem przecież nie dość, że jednym z wielu prowincjonalnych obywateli, wyróżniającym się spośród nich zaledwie młodym podówczas wiekiem i brakiem doświadczenia, ale i nie przedstawiałem sobą jakichś specyficznych zalet, które wynosiłyby mnie ponad innych. Nie miałem też ambicji, które wykraczałyby poza horyzont przeciętności, ot, po klęsce ze studiami, zadowalałem się byle okruciami codziennej radości, misternie tkając swój cichy, spokojny i niewadzący nikomu żywot niedawnego młodzieńca, który wkracza w dojrzałość niepewnie stąpając po grząskim gruncie wyboistej i pełnej zakrętów drogi.

Ale to pan podczas kolejnego spotkania uświadomił mi, że każdy człowiek zasługuje na to, aby być bohaterem w tej opowieści.

Nie mogę tylko zrozumieć jednego: jak to się stało, że po tylu latach nie zrezygnował pan ze mnie? Przecież od czasu naszej pierwszej rozmowy poczynionej w klubokawiarni na piętrze minęło już trzydzieści lat. Spotykaliśmy się co miesiąc, dwa; wyjeżdżałem, wracałem, odnajdywałem pana, rozmawialiśmy o tym i o owym, dostarczał mi pan swoje zapiski, ja przedstawiałem swoje, a nasza powieść wciąż tkwiła głęboko w naszej wyobraźni. Ktoś inny na pana miejscu powiedziałby: „dosyć! umówiliśmy się, ustaliliśmy pewne reguły, a pan przynosi mi zapisane ołówkiem karteluszeki, z których nie wynika nic innego poza tym, że opowiadanie idzie panu opornie, och, jak opornie.”

Nie wiem, co o tym sądzić. Co myśleć o tej pana niezwyklej cierpliwości? Panie profesorze, nie ma już tego budynku, na którego pierwszym piętrze zaproponował mi pan współpracę. Nie żyje już pani Zofia, której chciałem złożyć w darze egzemplarz naszej wspólnej książki. Panie profesorze, świat zmienił się tak bardzo, że chociaż jestem od pana o dwanaście lat młodszy, ja już

go nie poznaję, mierzi mnie, niepokoi, przeraża. Kogo zainteresują dawne czasy, skoro mało kto już je pamięta?

Już dobrze, zacznę. Poprawię panu poduszkę pod głową. Teraz lepiej? I słońce wyszło. Rozsunę zastony, ale okna nie otworzę, bo wiatr... a pan, zdaje się być wrażliwy na zmianę ciśnienia, Anna mówiła mi o tym. Przepraszam, że będę czytał niezgrabnie; nowe okulary pozostawiłem w domu. Uprzedzam, że to pan zachęcił mnie do napisania tego fragmentu, gdyż ja wciąż utrzymuję, że moja osoba nie jest tak bardzo istotna dla całokształtu naszego wspólnego dzieła, ale skoro już przystałem na pana sugestie, to niech mi będzie wolno zauważyć, że kasztanowa aleja w naszym miasteczku będzie się przewijać przez moje opowiadanie wielokrotnie i wystąpi już na samym początku. Niech pan posłucha.

A cóż to się dzieje w kamieniczce odsuniętej o kilkanaście metrów w głąb miasta od długiej, kasztanowej alei, przysypanej wielopalczastym listowiem i pękającym owocem kasztanowym, błyszczącym, rozdeptywanym podeszwami przechodniów?

Jest czwarty października, jest oczekiwanie i pierwsze bóle, i uśmiech przez łzy szczęścia i łzy niepewności. Jest trzymanie kciuków przez ojca, są rozmowy rodzinne, jest podekscytowanie. Babcie, które nie są jeszcze babciami wieczorne zanoszą modły; przyszli dziadkowie z dumą kładą się spać, lecz sen niespokojny jeszcze zwleka, jeszcze gromadzi wokół siebie natłok myśli.

W kamieniczce przypominającej piętrową, przedwojenną willę dnieje światło mdłych żarówek; noc nie jest tu cicha, jest niespokojna; za oknami krzątają się cienie bielutkich fartuchów; ktoś na papieroska wychodzi na balkon.

Poródówka budzi się tuż po wschodzie październikowego słońca jękami kobiety wydającej na świat nowe życie. Chłopiec drze się w niebogłosy; położna nie musi nawet dawać klapsa, unosi go, pokazuje matce, owija starannie w bawełniane płótno, podaje do ucałowania zmęczonej pierwszym porodem, uśmiechającej się przez łzy szczęścia, już niesennej matki; ta przesuwa swoje nasączone wilgocią potu ciało, aby dać miejsce małemu, aby je utulić i w końcu

oddaje je do łóżeczka, które tuż obok jej łoża ustawiono. Chłopiec milknie, zasypia i budzi się po godzinie z wrzaskiem żądając pierwszego posiłku.

Ojciec co i rusz przez oszklone drzwi zagląda, a potem stuka w szybę, macha obiema rękami; widzi niemowlę, jeszcze nie dość wyraźnie, następnie zbiega z piętra, mknie kasztanową aleją do teściowej, odbiera gratulacje, spieszy na autobus, wsiada podekscytowany, wyskakuje na przystanku nie opodal fabryki, gna jak oszalały wąską ścieżyną między stawami, wbiega na pierwsze piętro kamienicy, otwiera drzwi radośnie witany przez swoją matkę i ojca, a dzisiejszy dziadek zaciąga go do swojego pokoju, wyjmując z kredensu butelkę czystej i wlewa alkohol do dwóch stugramowych szklaneczek.

- No, tośmy się doczekali - mówi dziadek. - Najlepszego.

Otóż i wydano mnie na świat przy alei kasztanowej, niemal w przepisowym odstępie czasu od zaślubin moich rodziców; wydano mnie, abym rósł na pociechę mego ojca i matki, babć i dziadków, rodziny, która przyjęła moją obecność na świecie jako nieuchronne wypełnienie się testamentu ludzkości. Stawałem się człowiekiem, czego zrazu nie byłem świadomy, gdyż moja pamięć nie sięgnęła nigdy tych dni i miesięcy spędzonych w pościeli niewielkiego łóżeczka, w ramionach kołyszącej mnie matki, w wózku dumnie prowadzonym przez ojca. Nie pamiętam tych pochyleń nad sobą, słodkich rozmów, dotyków i ucałowań, ale uruchamiając wyobraźnię wiem, że wstępowałem w krainę błogiego szczęścia, jakie zwykle towarzyszy narodzinom dziecka.

- Z tych wszystkich przedmiotów jakie przed nim postawiono - przypomina ciotka - najśmiej chwycił pulchnymi paluszkami długopis, którym dźgał leżącą tuż obok książkę, a potem skuwkę wsunął do ust, possał chwilę, lecz zaraz mu tę zabawę przerwano, na co zareagował krzykiem. A tak bisko monety trzymał swoje paluszki - ciotka zwróciła uwagę nawet na ten, wydawałoby się, nieznaczący szczegół. - Już myślałam, że najpierw pochwyci pieniądze. Nie pochwycił.

- Ty wiesz, moja droga. Ja już myślałam, że on jest chory. Wyobraż sobie, że płakał całe trzy miesiące. Nie wiem, czy w nocy godzinę przespałam. Na zmianę przy nim siedzieliśmy, Andrzej, teściowa, teść i ja, a on nic sobie z tego nie robił, tylko płakał. W dzień było inaczej, ale nocą dawał się we znaki.

- Byliście z nim u lekarza?

- A jakże, byliśmy. Powiedział, że czasami tak jest z maluchami, ale nadejdzie taki czas, kiedy mu minie to powiadamanie świata o swojej na nim obecności.

- Moja tak ze trzy-cztery godziny w nocy spać nam pozwalała - westchnęła ciotka.

- I wyobraż sobie - ciągnęła matka - w tę pierwszą noc przed pójściem do pracy skończyło się to moje trzymiesięczne niewyspanie. Aż byłam zdziwiona, czy przypadkiem nie chory. Kolejnej dnia było podobnie. Jedynie raz w nocy do karmienia wstawałam. Nasycił się i zapadał natychmiast w tak zdrowy sen, a ja wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Oczywiście, że pobiegłam z tym do doktora M. Owszem, przebadał go dokładnie. Wiesz, on jest bardzo wrażliwy, jeśli chodzi o choroby dzieci... szorstki w obejściu względem dorosłych, lecz do dziecka o każdej porze przyjedzie i gdyby mu nawet wciskać siłą w łapę jaki grosz, to tak cię zrugą, że zapomnisz, jak się nazywasz. No i wyszło na to, że jest zdrowy, ale dlaczego tak płakał przez te trzy miesiące, nie potrafił odpowiedzieć. Powiedział tylko:

- „Pani teściowa, Jadziu, jest stuprocentową katoliczką, a zatem w jak najlepszych z Panem Bogiem pozostaje kontaktach. Niechże więc ona Pana Boga zapyta.”

Roześmiałam się, ale do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego płacz Adasia ustąpił akurat w czasie, kiedy musiałam wrócić do pracy.

Podczas tej rozmowy matki z ciotką, ale również podczas wielu innych, jakie matka przeprowadzała z koleżankami z pracy leżałam w wózku i odsypiałem te trzy pierwsze, płaczliwe miesiące swojego życia. Musiało to być wiosną, bo zima tego roku była sroga i babcia odradzała matce wychodzenie ze mną na dwór. Pan profesor myśli,

że sięganie do tak odległych wspomnień ma sens?

Rozdział 5

- Czy mam wnieść czwarte nakrycie - zapytała Anna, wchodząc do pokoju profesora.

Byłem nieco zaskoczony. Wiedziałem, że trzecie nakrycie, to jest porcja ciasteczek na talerzyku, herbata i koniak przynależą właśnie do Anny, która, o czym wspominała wcześniej, dosiadała się do przyjmowanego przez profesora gościa, lecz czwarte nakrycie? Wszystko wskazywało na to, że pan profesor spodziewa się kolejnej zaproszonej przez siebie osoby.

- Podaj, moja droga, z wyjątkiem herbaty, którą pan dyrektor lubi pić gorącą - odparł profesor.

Anna zakrzętała się po pokoju i w mgnieniu oka na kwadratowym stole, przy którym siedzieliśmy z profesorem, pojawił się kremowy obrus; na nim wkrótce ustawiła cztery talerzyki z kawałkami szarlotki, łyżeczki do herbaty i ciasta, cztery kieliszki wypełnione koniakiem i trzy szklanki z herbatą.

- To bardzo dobrze, że o nim pamiętasz - doceniła Anna. - Pan dyrektor jest taki samotny.

- To prawda, moja droga, *non est bonum esse hominem solum*, nie masz bardziej samotnego człowieka nad niego. Siadaj z nami. Nasz gość jak zwykle spóźni się nie więcej niż pięć minut. Swoją drogą nasz pan dyrektor ma dosyć oryginalny pogląd na planowanie odwiedzin. Utrzymuje, że swoje notoryczne, aczkolwiek niewielkie spóźnienia podyktowane są troską o to, aby nie nękać gospodarzy punktualnością, wymuszającą na nich bezapelacyjną gotowość na przyjęcie gościa. Rozumie pan - profesor spojrzał w moją stronę - nadmierny pośpiech potrafi zniweczyć nasze plany. Dajmy na to, przychodzimy na proszony obiad, kurczak z rożna jeszcze nie gotowy, pani domu jeszcze w fartuszkach, dzwonek, pani domu niestosownie ubrana podbiega do drzwi - nie można przecież brać jej za złe, że chce powitać gościa - następuje serdeczne przywitanie, nierzadko gość wręcza gospodyni bukiet kwiatów, ta

odkłaniając się grzecznie, dziękując za przemiłą niespodziankę oddała się w poszukiwaniu wazonu, znajduje go, wlewa doń wodę, wkłada kwiaty, stawia wazon w widocznym miejscu w pokoju, gdzie obiad będzie spożywany, a tymczasem kurczak w piecyku nabiera niepokojąco ciemnej barwy.

Profesor zakończył swą wypowiedź niedyskretnym śmiechem, a i moje usta rozchyliły się zaznaczając skromny uśmiech na twarzy. Widząc wszakże towarzyszące temu uśmiewi zaskoczenie w moich oczach, pan profesor zechciał zaspokoić moją ciekawość odnośnie tej osoby, z którą będziemy mieli przyjemność delektować się tym, co przygotowała na podwieczorek Anna.

- Mówimy tu o panu Kowalczyku, panie Adamie. Zapewne słyszał pan o nim...

Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Przez kilka ładnych lat pan Kowalczyk piastował funkcję dyrektora „Jesieni życia” w naszym miasteczku. A potem... aż przykro wspominać te późniejsze czasy, ale cóż, nie uciekniemy od tego... pan dyrektor... pana dyrektora nadzwyczaj źle potraktowano, odszedł, ja bym powiedział w sławie, lecz na wiele lat zawieruszył się na podrzędnych stanowiskach, najpierw na poczcie, potem w prywatnych zakładach, pogodzony z utratą prestiżu, jaki towarzyszył jego misji, a tak, misji jaką pełnił w Domu, popadł w niejaką melancholię, wybrał samotność na lata, które nie musiały tak wyglądać jak wyglądają... no i, panie Adamie, tak sobie myślę, że i ja dzieliłbym z nim podobne życie, gdyby nie Anna... on, niestety, nie spotkał na swojej drodze drugiej Anny, a tak....

Nie znałem profesora z tej strony, choć miałem świadomość tego, że przywiązuje wielkie znaczenie do konwenansów, potrafi się zachować jak dżentelmen, ot, choćby w tej chwili, kiedy chwyta dłoń Anny i składa na niej serdeczny i wdzięczny pocałunek.

Policzki Anny zaróżowiły się.

- Tak... znam pana dyrektora, aczkolwiek nieczęsto z nim rozmawiałem. Zdaje się, że w tym Domu dokonała swego żywota pani Zofia?

- Owszem... moja starsza koleżanka a pana protektorka - zamyślił się i spochmurniał. - Ale pan Kowalczyk nie był już wtedy dyrektorem. Postąpiono z nią haniebnie, powtórzę, haniebnie - dłonie profesora drżały, zaciskał usta i widać było, że traci władzę nad spokojnym, stonowanym głosem, którym dotąd się posługiwał. - Teraz nie... pomówimy o tym przy innej okazji.

Przez chwilę pożałowałem, że wspomniałem swoją panią profesor, tę samą, której miałem wręczyć pachnący farbą drukarską egzemplarz naszej książki, ale łacinnik szybko zdołał opanować podniecenie i oznajmił mi, co następuje:

- Panie Adamie, długo, bo długo, ale jednak udało mi się namówić pana dyrektora do wspomnień, które pragnę, aby pan umieścił w naszej opowieści. Między innymi w tym celu zaprosiłem pana Kowalczyka do naszego domu.

- Dzisiaj, moja droga - zwrócił się teraz do Anny - nie będę grał z panem dyrektorem w szachy.

Na dyrektora nie musieliśmy długo czekać. Istotnie pojawił się po około pięciu minutach, choć nie było to pojawienie się; usłyszeliśmy dwa długie dzwonki do drzwi, świadczące nieomylnie o tym, kto domaga się wejścia. Wcześniej nie zdołaliśmy usłyszeć, jak pan Kowalczyk forsuje furtkę od ulicy, chociaż ta zwykle skrzypiała nieznośnie. Gość profesora znajdował na nią sposób, aby nie wydawała zawodzących jęków i tym razem było podobnie.

Anna powstała na dźwięk dzwonka i wchodząc do przedpokoju, rzuciła w naszą stronę krótkie: ciekawa jestem, co tym razem...

Wkrótce usłyszeliśmy jak kobieta przekręca gałkę zamka, a potem:

- Tak myślałam, że znów zrobi nam pan niespodziankę. Jaka wielka? Twarda, gorzka czekolada, taka jaką lubię. Ale ten koniak?

- Zapowiadał się pan Karski.... czy już przyszedł? Nie wypada przychodzić z pustymi rękami, zwłaszcza że od pana Adama tak wiele zależy. A z drugiej strony... - przestępował próg pokoju - nie mam komu dawać prezentów, a jak pani dobrze wie, dawanie podarunków sprawia ogromna radość dającemu

Wstaliśmy z profesorem od stołu i odbyli typowe w takich

sytuacjach przywitanie. Profesor nie omieszkął zachwycić się nad przyniesioną przez Kowalczyka buteleczką budafoku; mnie zaś dyrektor serdecznie uściskał, przyglądając mi się z zainteresowaniem, tak jakby szukał w pamięci momentu, w którym spotkaliśmy się już wcześniej i zamienili z sobą choćby kilka słów, i po tak długim spojrzeniu, jakie utkwiło na mojej twarzy, wreszcie przemówił do mnie

- A my spotkaliśmy się już około rok temu na stacji kolejowej. Siedzieliśmy w dworcowej restauracji, a nasz pociąg był opóźniony.

- Przypominam sobie. Zdaje mi się, że oczekiwał pan na jakąś kobietę, która miała przyjechać tym samym pociągiem, na który ja czekałem.

- To prawda. Zanudzałem pana swoją opowieścią. Ze mną tak już jest: jak dopadnę słuchacza, to zagaduję na śmierć - na jego twarzy początkowo rozlał się serdeczny uśmiech, później jednak jego wzrok sposepiał, jak gdyby dokuczyło mu wspomnienie tamtej rozmowy.

Anna wniosła właśnie herbatę i ustawiła szklaneczkę przed gościem, zaś profesor zdawał się być zadowolony z tego powodu, że obaj: ja i dyrektor, nie jesteśmy sobie obcy. Zapewne myślał o tym, że dla wykonania tej wspólnej pracy, jakiej się podjęliśmy, istotny jest ten szczególny rodzaj bliskości, który nawet jeśli nie nazwać go przyjaźnią, to przynajmniej znajomością siebie, z czego później wyrasta zaufanie i wiara w to, że odkrywanie przed sobą nawzajem kart kalendarza z ważnymi datami z przeszłości nie będzie stanowić dla nas problemu, nie zataimy przed sobą istotnych faktów z naszego życia.

Spróbowaliśmy herbaty, jaką przygotowała dla nas Anna, konsumowaliśmy jej szarlotkę, nabierając łyżeczką do ust po kawałeczku wilgotnej, chłodnej, dyskretnie pachnącej wanilią i cynamonem konsystencji kruchej bazy ciasta, na jakiej kobiece dłonie ułożyły tarte jabłka zmieszane z utrzepanym białkiem jajka, wreszcie zanurzyliśmy usta w aromatycznym trunku, wypijając po połowie kieliszka.

- Ja nie wiem, profesorze - odezwał się dyrektor Kowalczyk - czy to, co przygotowałem, pana usatysfakcjonuje. Nie zaczynam bowiem opowieści od samego początku, a... - tu spojrzał w moją stronę - mniej więcej od tego momentu, który ośmieliłem się zacząć swoją opowieść w tej właśnie dworcowej restauracji. To dziwne, prawda, że zaczynam właśnie od tego wątku.

- Skoro już raz opowiedział pan o swojej historii naszemu młodszemu przyjacielowi... no cóż, panie Adamie, wszakże jest pan z nas najmłodszy, oznacza to, że dużą wagę przywiązuje pan do tego wątku, do spotkania z Natalią, czy mam rację?

- Owszem, czasami w naszym życiu spotykają nas wydarzenia z pozoru błahe, które jednak odciskają w naszej pamięci niezatarty ślad. A w jaki sposób poznałem Natalię, no cóż... - Kowalczyk zamyślił się przez chwilę, a później napoczął swoją opowieść, którą już raz, przed rokiem, słyszałem.

W naszym miasteczku dwadzieścia pięć procent dorosłych obywateli nie ma pracy, a jednocześnie nie brak ludzi pracowitych. Chciałbym w tym miejscu zająć się niewielką wprawdzie, jeśli można się tak wyrazić, grupą obywateli, która wręcz rzuca się w oczy poprzez działalność, jaką wykonuje. Mam na myśli kilkunastoletnich chłopców (dziewczęta są w mniejszości), którzy parają się myciem szyb samochodowych na miejskich parkingach oraz przed skrzyżowaniem, na skraju miasta, w miejscu, gdzie z reguły długo się czeka na zielone światło. Z nastaniem ciepłych, wiosennych dni, przez całe lato i skończywszy na ostatnich powiewach babiego lata, całe rzesze tej niedorosłej szarańczy wybiega na ulice i kieruje się do wspomnianych miejsc. Wszyscy wyposażeni w stosowne narzędzia pracy uprawiają ten, jakże pożyteczny, choć momentami natarczywy proceder, dopadając użytkowników aut miejscowych, rodzimych i czasami cudzoziemskich, prosząc o możliwość umycia szyb w samochodzie. I tak jak w przypadku żebrzących romskich dzieciaków pod urzędem miejskim, tak i w przypadku tej przedsiębiorczej gromadki, świat ludzi dorosłych, obejmujący głównie właścicieli pojazdów mechanicznych, podzielił się na dwa

antagonistyczne obozy. Pierwsi to liberałowie, pozytywnie ustosunkowani do tego typu zarobkowania przez młodzież. Podkreślają oni nie tylko wymierne korzyści materialne jakie przynosi im i ich rodzinom praca, lecz również zwracają uwagę na walory wychowawcze pracy jako takiej. Zdają się mówić: lepiej niech taki szczeniak doceni wartość pracy i wysiłku jaki w nią wkłada, robiąc coś pożytecznego, aniżeli miałby spędzać wolny czas w młodocianych gangach, wałęsać się bezcelowo po ciemnych uliczkach, chlać wińsko w bramach, wachać klej, palić jakieś paskudztwo, wypisywać świństwa na murach, czy wreszcie napadać na staruszki lub młodszych od siebie, wymuszając w ten sposób pieniądze, które potem i tak przepuści na papierosy i inne głupstwa. Pracując przynajmniej doceni rolę pieniądza, zaoszczędzi sobie na wakacje, kupi jakąś książkę, czy w końcu zje coś porzadniejszego niż to, co figuruje w jego codziennym, domowym jadłospisie.

Drudzy to tradycjonaści, równie stanowczo, jak liberałowie, nastawieni do kwestii wychowania młodzieży. Oni też, a może przede wszystkim pragną podać młodym czytelny drogowskaz na dalsze życie. Ci jednak utrzymują, że zamiast całe dni spędzać na nękanii użytkowników aut, wyrostki powinny zająć się nauką, gdyż tylko ona pomoże im w przyszłości wyrwać się z biedy i niedostatku, w którym wyrastają. W wakacje mogliby znaleźć miejsce w hufcach pracy (jeżeli takie jeszcze istnieją); tam zarobiliby co nieco, a i czas wolny spędziliby mądrzej, mając jakiś grosz na swoje wydatki.

Trudno mi jednoznacznie opowiedzieć się za tym czy przeciwnym poglądem, albowiem zdaję sobie sprawę z tego, że podejmowanie się przez dzieci i młodzież zajęć, że tak powiem, na własną rękę, może wynikać z wielu przyczyn?: czy to z faktycznego niedostatku w domu - nawet biedy, czy też z niedopilnowania, a może z chęci odbycia przygody lub też ciułania grosza nie na chleb, ale właśnie na używki, których w ich wieku spożywać się nie powinno.

Tego roku, nie wiadomo skąd, przyszła moda na mycie szyb wystawowych w sklepach, rozszerzona później na prywatne okna

mieszkańców miasteczka, jak również na trzepanie dywanów, mycie i pastowanie podłóg i czyszczenie wszystkiego co się da; robienie zakupów i opieka nad osobami starszymi. O ile mycie szyb samochodowych było głównie domeną dzieciaków dwunasto - czternastoletnich, o tyle prace porządkowe związane z trwałą substancją lokalową i pozostałe wymienione usługi stały się popularne wśród szesnasto-osiemnastolatków, przede wszystkim dziewcząt.

Kiedy w pewne majowe, późne popołudnie zapukano do moich drzwi mieszkanka na poddaszu, a po ich otwarciu ukazała się w nich osóбка w wieku maturalnym, o sympatycznym wyglądzie, frywolnym uśmiešku i odważnym, rozumnym spojrzeniu, skutecznie gaszącym ten uśmiech tuż przed wypowiedzeniem słowa, nie wiedziałem jeszcze, co mnie czeka. Przypomniałem sobie, że ta postać zawieszona pomiędzy korytarzem klatki schodowej a przedpokojem należy do dziewczyny, jaką widziałem przed jednym ze sklepów, kiedy to myła jego witrynę. Sprawiała wtedy solidne wrażenie, nie reagując na kąśliwe spojrzenia przechodniów, którzy tego dnia, bardzo ciepłego jak na połowę marca, zdawali się rozbierać ją wzrokiem, gdy w podkasanej sukience stawała coraz wyżej na szczeblach drabiny. Wydaje mi się, że wtedy przez moment nasze spojrzenia spotkały się na tafli dopiero co wyczyszczonej szyby i zauważyłem jej jakby zasmucone, a w każdym bądź razie nazbyt poważne w stosunku do wieku dziewczyny oczy. Tego popołudnia kiedy stała w progu mojego mieszkania zaobserwowałem w jej oczach coś odmiennego. Odnalazłem w jej spojrzeniu pewność siebie, być może wyreżyserowaną, lecz na tyle starannie, abym mógł poczuć do niej sympatię.

- Dzień dobry. Zauważyłam, że okna w pana mieszkaniu wymagają, delikatnie mówiąc, otarcia ich z zimowego kurzu - przemówiła.

"Zimowego kurzu" - zastanowiłem się. Zgrabnie powiedziane. Jest już maj, czyżbym nie mył okien przez tak długi okres czasu?

- Co pani proponuje? - zapytałem, nie wiedzieć czemu tytułując ją słowem "pani".

- Mam na imię Natalia i oferuję przyjąć panu z pomocą do tego stopnia, że nikt z ulicy nie będzie podejrzewał pana o samotny tryb życia.

- Słucham?

- Kiedy kobieta jest w domu, szyby nie wyglądają tak jak te tutaj u pana.

Byłaż to delikatna aluzja do samotnego trybu życia, jaki prowadzę, ale nie zburzyła ona mojego pozytywnego względem niej myślenia.

- A... to chodzi. Masz rację, powinienem je myć częściej.

- Teraz już pan nie musi. Odpowiada panu najbliższa sobota?

Zdruzgotła mnie swoją śmiałością. Nie potrafiłem wybrnąć z tej sytuacji, wycofać się, grzecznie odmówić, tłumacząc, że z tak wieloma rzeczami daję sobie razem pomimo życia w samotności, że i z tym umyciem okien sobie poradzę, choć oczywiście uprzejmie podziękuję za zwróconą mi uwagę.

Ale w końcu zgodziłem się bezwiednie na to najbliższe sobotnie przedpołudnie. Może moje myśli wymknęły się wtedy spod kontroli, może uczyniłem to z lenistwa, dla świętego spokoju, może nie miałem siły, aby wystać moją rozmówczynię do najbliższych diabłów, lecz przystałem na jej propozycję. Byłem na pewno zaskoczony. Z nadszarpniętą dumą wynegocjowałem kwotę za usługę, która nam obojgu odpowiadała.

Przyszła punktualnie, z własnym sprzętem, podwinęła rękawy kombinezonu i wspięła się na pierwszy parapet niczym młoda rozbrykana sarna, pokonująca w podskokach kępy wysokich traw i wierzchołki młodych świerków na leśnej polanie. Wkrótce okno stanęło w chmurach piany, później, po wstępnym wysuszeniu dopadł je prysznic pachnącego amoniakiem płynu i wreszcie zaśniło niebieskim połyskiem, odbijając refleksy przedpołudniowego słońca. Spoglądałem na nią ukradkiem i mimowolnie odgrywałem rolę klienta, który poprosił ekspedientkę o podanie towaru z najwyższej półki. Być może w tym zerkaniu nie było nic, czego mógłby się powstydić normalny mężczyzna, tym nie mniej poczułem się podle, pozwalając sobie na to, aby patrzeć na nią jak na kobietę w chwili,

gdy ona zapewne nie miała na to ochoty. Oczywiście nie stałem przy niej cały ten czas. Zajmowałem się porządkowaniem czegoś tam, zrobiłem kawę i przygotowałem ciasteczka. Mimo tego z naturalną chęcią przystępowałem do dyskretnej obserwacji Natalii, która, jak na złość, nie wypowiadała wiele słów podczas pracy, co czyniło moje spojrzenia bardziej natarczywymi. Przy trzecim oknie zarzuciłem jednak bezwstydną spojrzenia kierowane ku mojej sarence. Uderzyłem się otwartą dłońią w czoło. - Człowieku, co robisz? Ta dziewczyna mogłaby być twoją córką - powiedziałem do siebie, lecz jednocześnie jakiś głos we mnie ripostował natychmiast: - ale nie jest twoją córką. Chyba dlatego nie zareagowałem odrzucająco na jej sugestie w sprawie zrobienia czegoś z firankami.

- Pan pali papierosy i dlatego one tak wyglądają - powiedziała porównując biel parapetu jaką udało się jej wydobyć z kremową materią zwisającą z karnisza.

Dlaczego kobiety tak dużą wagę przykładają do wyglądu firanek. Jeżeli takie jest jej zdanie...

- Proszę bardzo, upiorę je, jak sobie życzysz. Uprałbym je, gdybym tylko zauważył, że są brudne.

- Mężczyzna, który lubi pracować - zachnęła się, sądząc być może, że żartuję.

- Lubi, choć czasami nie ma na to czasu - odparłem.

- Czyli na wypranie przeze mnie firanek akurat nie da się pan namówić. Skończyłam - oznajmiła zeskakując z parapetu.

Zsunęła firanki i szybko odwróciła wzrok od efektów swej pracy. Czuliła się nieusatysfakcjonowana, zapewne z powodu tych firanek, które niweczyły jej pracę zasnuwając przezroczystość szyb siwo-kremową mgiełką kurzu.

- Jeśli masz ochotę zająć się moimi firankami, proszę bardzo - powiedziałem pragnąc ugasić jej niepokój - powiedziałem zaskakując i ją i siebie.

Przez następne pięć minut wspinała się na parapety i z dużym zapamiętaniem otwierała paszczęki krokodylków, a firanki odpadały

bezwiednie na podłogę wzniecając kurzowy pyłek. Kiedy skończyła zaprosiłem ją na kawę i ciastka. Jedliśmy w milczeniu i niewiele mogłem się o niej dowiedzieć poza tym, że jest właśnie przed ustnymi egzaminami maturalnymi i przykro jej, że nie może dłużej posiedzieć, bo po praniu jakie robi po południu, musi powtarzać biologię. Mam się też nie przejmować tym, że pracuje w przerwie między egzaminami, gdyż znajduje czas i na jedno i na drugie, a nie wyobraża sobie ślęczenia nad książkami bez przerwy, przed ustną maturą.

Nazajutrz, po uprzednim telefonie, przyszła do mnie wczesnym rankiem. Firanki były uprane i wyprasowane; zawiesiła je i nagle we wszystkich pomieszczeniach zrobiło się jasno i przytulnie.

Po raz kolejny spotkałem się z Natalią w końcu czerwca, kiedy to spróbowała swych sił w pracy jako wolontariuszka w „Jesieni życia”, domu dla ludzi starych, niepełnych, samotnych i opuszczonych, którym dyktorowałem. Zgłosiła się wtedy z ofertą pomocy w sprzątaniu pokoi mieszkańców domu, jako że po zdanej maturze nie starała się dostać na studia. Powodów swej decyzji początkowo nie chciała zdradzić, ale też nie nagabywałem o jej wyjaśnienia. Powiedziała, że szukając pracy od razu pomyślała o pensjonacie i wie, że na początek nie ma co liczyć na stałe zatrudnienie, bo w miasteczku pracy dla młodych nie ma. Zadowolili się wobec tego pracą dorywczą, bez zapłaty, no może za jakiś posiłek, gdyż wieczorami będzie próbowała zajmować się myciem okien na mieście i może nie mieć czasu na ugotowanie obiadu.

- To bardzo piękne z twojej strony, ale pewno nie zdajesz sobie sprawy z obowiązków jakie ciebie czekają - zauważyłem.

- Nie boję się pracy - odparła krótko, nie chcąc już dalej rozwodzić się nad powodami, dla których tutaj przyszła.

Nie musiała mi tego mówić. Taka osoba w pensjonacie to prawdziwy skarb, lecz jednocześnie zachodziłem w głowę, dlaczego ambicje abiturientki ogólniaka sięgają tak płytko. Możliwe, że liczy jednak na zatrudnienie, normalne zatrudnienie, a ja... co jej mogę zaoferować.

- Natalio, oczywiście jeśli jest taka twoja wola, to oczywiście zgadzam się i jeszcze dzisiaj załatwimy wszelkie formalności. Powiem więcej, będę się starał cię zatrudnić. Możesz mi wierzyć lub nie ale jestem dyrektorem, który nie zawsze może samodzielnie podejmować wszystkich decyzji kadrowych. Zależny jestem od władz miasta, takie czasy.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- No przecież wiem, panie dyrektorze. Mogę zacząć od dzisiaj?

I zaczęła. Nie wiem, jak to się stało. Nigdy wcześniej nie podejmowałem decyzji tak bardzo ad hoc. Nigdy wcześniej przy zatrudnianiu nie miałem tak nikłych wątpliwości co do tego, że przyjmowana przeze mnie do pracy osoba pierwszorzędnie się do niej nadaje.

Przedstawiłem ją personelowi (okazuje się, że kilka osób ją znało) i poleciłem, aby przygotowywano jej takie same posiłki jak pozostałym pracownikom. Widziałem w ich oczach zazdrość i niepokój, który minął dopiero wtedy, gdy wytłumaczyłem, że dziewczyna będzie u nas pracować jako wolontariuszka. Następnie oprowadziłem ją po pensjonacie i poznałem z wszystkimi jego stałymi mieszkańcami. Byłem pewien, że przyjmą ją serdecznie. Nie myliłem się. Natalia miała w sobie trudny do sprecyzowania wdzięk i urok, który emanował z jej zachowania, ruchów ciała, słów i gestów, delikatnie posyłanych w kierunku tych, którzy się z nią stykali. Jej spojrzenie długie i przejmujące zdradzało zainteresowanie drugą osobą, przykuwało uwagę i prowokowało do rozmowy z nią. Czasami nawet typowe codzienne powitanie z jej udziałem przeradzało się w wymianę myśli i wszyscy ci, którzy podejmowali trud szczerzej rozmowy, czynili to spontanicznie, wiedząc, że mogą liczyć na równie szczerze odpowiedzi. Było to tym bardziej zaskakujące, iż wiek Natalii powinien być być przeszkodą w porozumiewaniu się z osobami daleko starszymi od niej i mającymi znacznie bogatsze doświadczenie życiowe, natomiast stało się akurat inaczej: dziewczyna z każdym dniem swojej pracy w pensjonacie zdawała się mieć coraz lepszy kontakt z ludźmi, którzy powierzali jej sekrety

ich życia.

Tego pierwszego dnia jej pracy w pensjonacie Natalia dopiero wkraczała na drogę bliskich, nacechowanych wylewną serdecznością kontaktów z ludźmi; sukcesy zaczęła odnosić już niebawem.

Rozdział 6.

Mniej więcej po tygodniu od tamtego spotkania w mieszkaniu Anny i profesora, napatoczył mi się w jednym z zajazdów przy stacji benzynowej dawny znajomy, etnograf pracujący onegdaj, ba, dyktujący przez jedną kadencję muzeum mieszczącym się w powiatowym mieście. Przysiedliśmy się do siebie, raczej on do mnie i przez dobre dwie godziny zapomnieliśmy o celu podróży, oddając się rozmowie na banalne tematy w rodzaju: co tam u ciebie? jak ze zdrowiem? co słychać u Hani? nad czym obecnie pracujesz?

Ze zdrowiem u Pawła nie było najlepiej, z pracą różnie, bo i też nie potrafił pod tym względem o siebie zadbać, choć wykształcony, erudyta, z otwartym przewodem doktorskim, zaniedbywał prozaiczne obowiązki, jakich się podejmował, więcej - nie znosił prozy życia, papierkowej, administracyjnej roboty i chyba również z tego powodu zrezygnowano w powiecie z jego usług, choć w gruncie rzeczy jako osoba spoza tak zwanego układu, nie miał większych szans na kontynuowanie swojej kariery w placówce, której poświęcał się bez reszty. Paweł od skończenia studiów był człowiekiem z pasją; kolekcjonował ludowe rzeźby, obrazy i rozmaite rekwizyty związane z wyposażeniem wnętrza chłopskich chałup, obór, komórek i stodół; zbierał też rozstrojone przez czas instrumenty muzyczne oraz teksty ludowych pieśni. Interesowały go nade wszystko pradowe wiejskie obyczaje, obrzędowość religijna i ta mająca swoje źródła wierzeniach sięgających czasów pogańskich przedstawione w klechdach, bajaniach i opowieściach na poły niesamowitych, by nie powiedzieć fantastycznych. Rzecz jasna jego misją, niedocenianą przez współpracowników, było ocalenie tego świata, w którym panował odwieczny, surowy, wymagający poświęceń porządek, oparty na hierarchicznym podporządkowaniu

się młodziży swym ojcom i dziadom, świata, w którym dominantą był obowiązek, obowiązkiem - zaspokojenie doczesnych potrzeb, a koniecznością - opieranie się na wartościach ponadczasowych, także religijnych. W tym świecie nie brakowało jednak miejsca na realizację potrzeb ludycznych, na zabawy, tańce, śpiew, obrzędowość związaną z niezmiennością pór roku, z liturgią kościelną, aż po jednostkowe, lecz niezmiernie istotne dla człowieka wydarzenia, jakimi są: narodziny, ślub i śmierć.

Paweł lekceważąc brutalną codzienność teraźniejszości znajdował w sobie tyle sił, aby ukazywać publiczności dużych, jak i też pomniejszych miast wszystko to, co było wytworem rąk kontynuatorów artystycznych prac twórców ludowych. Dla nich przede wszystkim organizował plenery, projektował wystawy, pełniąc rolę duchowego przywódcy okolicznych rzeźbiarzy i malarzy; sprowadzał do powiatowego miasta rozliczne grupy ludowych artystów, próbując przy tej okazji pozyskać dla swoich ambitnych planów zamożnych sponsorów, gdyż na sztukę w takiej postaci, jaką proponował, zawsze brakowało w powiatowej kasie środków.

Rozmawialiśmy zatem o jego planach i zamierzeniach, choć częściej wracaliśmy do wcześniejszych czasów, wspominając nasze wspólne działania, niedokończone projekty, których nie udało nam się zrealizować i to nawet nie z uwagi na brak finansowego wsparcia, ale głównie z tego powodu, że nie traktowano nas poważnie; wybierano zwykle pseudokulturową papkę dla mas, sądząc, że nie zdołamy zainteresować publiczności światem, który jeszcze nie zaginął, choć trzeba było poń sięgnąć głęboko, nierzadko ośmielając tych, którzy w nim pozostali do zaprezentowania się ogółowi w takiej formie, w jakiej chcielibyśmy ich oglądać.

Właśnie wtedy opowiedziałem Pawłowi o naszym przedsięwzięciu, to jest o tej quasi kronikarskiej opowieści o czasie minionym, o miasteczku, które łączyło mnie, profesora, dyrektora i Annę, o naszych rodzinnych peryferiach, o świecie, który podobnie jak ten świat z wizji Pawła nigdy już nie powróci.

- Czy jest sens pisać o tym, co utraciło już znaczenie? - zapytałem.
- Kogo zainteresuje fakt, że główna ulica mojego miasteczka wyłożona była kamieniami i chociaż oznaczała się trwałością, była przecież niewygodna; hałaśliwie brnęły nią drewniane koła chłopskich furmanek, a kopyta końskie krzesły iskry. Ludzie cieszą się z tego, że ta ulica kilkakrotnie od tamtych czasów pokrywana była asfaltem; jadąc nią czuje się komfort podróży, a zatem po co wracać do przeszłości? Ot, chyba z kronikarskiego obowiązku przytoczyć zwięzłe fakty... że było tak i tak, dołożyć do tego fotografię, może nawet przeprowadzić multimedialną prezentację, a potem wyłączyć projektor, schować notatki do teczki i podziękować publiczności za uwagę. Publiczność rozejdzie się do swoich nowoczesnych domów. Ale zmuszać ją do tego, aby czytała wcale pokaźnie rozbudowaną księgę? Rozumiem, że gdyby w naszym miasteczku czy w okolicy rozegrała się onegdaj jakaś krwawa, przesądzająca o losach dziejów bitwa; gdybyż przepędził w nim czas jakiś król, magnat, dowódca; gdyby wieszcz popełniłby o nim poemat... o tak, wtedy celowość ukazania przeszłości mojego prowincjonalnego miasteczka zdawałaby się być oczywista.

Paweł nie udzielił mi odpowiedzi wprost. Podejrzewam, że miewał podobne wątpliwości, samemu próbując wskrzesić świat zapadniętych w jamy niepamięci wiosek, siół i przysiółków z prawdziwym konglomeratem barwnych, raz poważnych, steranych ciężką pracą, innym razem wesołych, poddających się wyniosłym uczuciom obrzędów i zabaw postaci.

- A jeśli nawet nie zdołacie przykuć uwagi innych do swojego dzieła, to zawsze pozostanie satysfakcja z tego, że podjęliście się tej pracy i to samo w sobie jest wartością... a poza tym, coś po sobie trzeba przecież pozostawić.

Zamówiliśmy coś, co pomogłoby nasycić nasze żołądki przed dalszą jazdą, a ja umknąłem we wspomnienia, przemykając się w przeszłość bezboleśnie.

Ileż mogłem mieć wtedy lat? Cztery, może pięć. W każdym bądź razie tych kilka dni, w które cierpiełem na odrę to ten moment

czasu, który bezapelacyjnie utkwiał w mojej pamięci. Choroba dopadła mnie w domu babki, matki mojej mamy. Mieszkanko, w którym żyli moi dziadkowie było niewielkie: dwa mizerne pokoje, kuchnia, mikroskopijny przedpokój, wychodek na zewnątrz, na dole. Aż trudno uwierzyć, że był czas, kiedy w tym gniazdku mieszkało pięć osób (dziadkowie mieli dwie córki i syna). W czasie choroby w mieszkanku była nas czwórka: moja matka mieszkała już w kamienicy w przyfabrycznej osadzie, jej siostra, już pożeniona, wyjechała na kresy zachodnie; pozostał się Andrzej, brat mamy... no i ja, z konieczności (odry przeziębiał nie wolno, a zatem powrót do osady wobec dosyć gwałtownie przebiegających objawów choroby, nie był możliwy) przykuty do łóżka pod oknem, z którego... Z okna wychodzącego na najdłuższą ulicę miasteczka, ulicę brukowaną, głośną, zwykle o dużym ruchu, patrzyło się na żywicielkę miasta - fabrykę, w której produkowano silniki elektryczne i transformatory. Niemal naprzeciwko kamieniczki moich dziadków usytuowana była brama; w jej wnętrzu szlaban, otwierany i zamykany przez portierów. Budynek portierni znajdował się nieco po lewej. To do niego wchodził kierowcy ciężarowych i osobowych aut, załatwiali tam formalności związane ze służbową podróżą; następnie wracali do swoich aut, a z domku wychodził wtedy portier i przy pomocy korbki otwierał szlaban. Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały. Pracownicy fabryki przechodzili natomiast węższą od wjazdowej furty, a było ich prawdziwe mrowie tuż przed siódmą, kiedy rozpoczynano pracę i około piętnastej, kiedy część zakładu zamykano, choć niektóre jego działy pracowały na dwie zmiany. Tuż po oknem ciżba ludzka podążała chodnikiem w prawo, w stronę starego miasta i zwracała się w stronę przeciwną ku nowemu miastu. Warkot silników aut przemierzających tę najdłuższą i najokazalszą ulicę w mieście potęgował się właśnie przed i po trzeciej po południu.

Ale wtedy, przykuty do łóżka, okryty po sam podbródek pierzyną nie dostrzegałem za oknem tego ruchu, nie słyszałem dochodzących z ulicy dźwięków, nie dokuczał mi hałas. Gorączka wytapiła ze mnie

słone rzeczułki potu, leżałem bezradny i osowiały, nie mając sił na to, aby odkopnąć boleśnie przylegającą do mojego ciała pierzynę, a kiedy otwierałem oczy, widziałem nad sobą ciężkie, różowiejące sklepienie sufitu. Moja twarz była szorstka, a wargi spuchnięte i suche. Nie potrafiłem wtedy określić, co się ze mną dzieje; czy to kostucha jak w bajkach wychodzi naprzeciw mojemu słabnącemu ciału?

Cały pierwszy dzień i następująca po nim noc były najgorsze.

O, tak, w tej mgle gorącej, w tym drzeniu rąk, w tej malignie, chropowatym oddechu, przytłoczony bezmiarem uciążliwej, plastycznej kopuły pierzyny widziałem z bliska wyolbrzymioną, rozdygotaną, owalną twarz doktora. Moje ciało stało się nieprzyzwoicie podatne na każdy dotyk, na każde nim poruszenie, uniesienie rąk, przekręcenie głowy, otarcie z czoła perlistych kropli słonego potu, zwilżenie spęczniałych ust gąbczastym tamponem dostarczającym wilgoć i zaspokajającym pragnienie. Moje myśli i odczucia pozostawały bierne, nie wykraczając ani na chwilę poza to, co działo się z moim ciałem. Myśli, jakiegokolwiek by nie były, nie przekraczały granicy bezwładnej cielesności, były nieme, niemal nieobecne, lecz w końcu uspokajał je jakiś szmerliwy, szeleszczący głos, unoszący się nade mną, głos, który mówił, że mój stan jest wprawdzie ciężki, ale normalny i typowy dla dzieci przechodzących odrę i nie można się temu przeciwstawić. Należy podawać zaaplikowane leki, uzbroić się w cierpliwość i zadbać o to, aby w pokoju było ciepło. Potem ten głos ucichł i roztopił się we mgle. Poczułem jeszcze dłoń dotykającą moje czoło i skroń, aby po upływie bardzo nieokreślonej chwili czasu ujrzeć ciemność i śnić sny, których na szczęście się nie pamięta.

Podobno każdy następny dzień, każda noc, niosły z sobą poprawę, choć nie potrafiłem tego odczuć, gdyż całym moim jestestwem zawładnęła senność, do tego stopnia, że nie rozpoznawałem pory dnia, myliłem się co do posiłków, przyjmując je niechętnie, bezskutecznie namawiany i zachęcany do spróbowania kolejnej łyżeczki słodkiej kaszy manny lub ryżowego kleiku na wodzie.

Z biegiem czasu (choć mówienie o tym, że czas podczas choroby podążał szybciej aniżeli przeciętnie wytrenowany ślimak byłoby przesadą) zacząłem dostrzegać pokój, w którym przebywałem w jego właściwych konturach, świetle i barwach. Nieznaczny spadek gorączki sprawiał, że coraz wyraźniej słyszałem i odróżniałem dźwięki, łatwiej rozumiałem, co do mnie mówiono i nauczyłem się logicznie odpowiadać na zadawane mi pytania. Mówiłem, że czuję się lepiej, choć wtedy oszukiwałem, gdyż w istocie byłem osłabiony i ociężały w ruchach, a przejście do toalety wytrącało moje ciało z równowagi. A jednak rozpoznawałem, widziałem przebłyśki radości w oczach babci, która spędzała ze mną te senne, nieporadne dni, dzieląc się opieką z ciotką, która zostawała przy mnie, kiedy babcia musiała „wyskoczyć” do sklepu, a czasami też kiedy pichciła obiad dla naszej czwórki. Aż w końcu pojawiła się mama w towarzystwie mężczyzny w białym fartuchu.

- Rzeczywiście ciężko przez nią przepływa, ale proszę się nie martwić, najgorsze już minęło, temperatura spada. Spodziewam się, że nad ranem spadnie na tyle, że może odczuwać dreszcze. Zalecam wtedy zmianę pościeli... i cały czas w cieple.

Uspokoilem się. Zobaczyłem potem nad sobą twarz matki, czułem na skroni dotyk jej dłoni. Babka, która musiała przeżyć ze swoimi pociechami tę dziecięcą chorobę, była spokojniejsza.

- Z Ircią było podobnie. Leżała nieprzytomna trzy doby - usłyszałem nad sobą głos babki.

Nad ranem zmieniono mi pierzynę i naprawdę poczułem drżący chłód na całym ciele, lecz po kilku minutach, dotykając swego czoła, stwierdziłem, że jest wilgotne i zimne. Powracałem do życia. Znów słyszałem wyraźnie dźwięki zza okna, rozpoznawałem znajome głosy, a sufit nad głową zatracił różową barwę i przestał się tak nieznośnie kołysać.

- A ty gdzie? Sam do toalety? Trzeba było powiedzieć, a odprowadziłabym cię - to głos babki, rozsądny, lecz wciąż pełen niepokoju. - Tylko mi szybko wracaj do łóżka.

Obserwowała mnie, jak wychodzę na korytarz, gdzie specjalnie dla

mnie przygotowano „toaletę” w postaci wiaderka przykrywanego drewnianym krążkiem

- Jestem już zdrowy, babciu.

- Jeszcze niezupełnie. Leżałeś cztery dni. Jesteś pewnie głodny.

Byłem bardzo głodny, ale czułem się lepiej. Siadywałem częściej na łóżku, wciąż z pierzyną dociśniętą do podbródka, rozkładałem na niej gazety i dziecięce czasopisma. Czytałem (w dostatecznym stopniu posiadałem wtedy umiejętność czytania), próbując zagłuszyć nudę, a kiedy nie starczało mi cierpliwości, kiedy dążenie do zrobienia czegokolwiek poza śledzeniem wzrokiem rzędów wyrazów i zdań stawało się silniejsze od ciągłej niemocy własnego ciała, wstawałem i podchodziłem do okna. Spotykała mnie za to reprimenda ze strony babci.

- Jeszcze za wcześnie. Jeszcze się przeziębisz i znów będziesz chory.

Prawdopodobnie i ona wzięła sobie do serca słowa lekarza, nakazującego, abym przebywał w cieple. Ale ileż można? Jak można przeziębic się w pokoju, w którym panują afrykańskie upały?

Na szczęście doktor pojawił się raz jeszcze, zbadał mnie, a ja, zmieszany i zadziwiony stwierdziłem, że twarz doktora wcale nie jest owalna i nabrzmiata, jak mi się wydawało, gdy był u mnie ostatnim razem.

- Leczenie przebiega pomyślnie. Chłopak wraca do zdrowia. Proszę jeszcze przez cztery dni podawać mu przepisane lekarstwa, a na dwór może wyjść najwcześniej za tydzień. I proszę, żeby unikał przez pewien czas słońca, zwłaszcza w godzinach południowych.

Ta diagnoza uspokoiła mnie. Uspokoiła też mamę, która kolejną noc spędziła już u nas w domu, aby powrócić do mnie nazajutrz z ojcem.

- No, ma ci się na życie, chłopie - powiedział do ojciec wsuwając mi pod pierzynę czekoladę - kiedy byłem tu ostatnio, nie wyglądałeś najlepiej. Musisz po męsku wytrzymać ten tydzień.

Widać było zadowolenie w jego oczach.

W ten sposób dowiedziałem się przypadkiem, że w czasie, kiedy przeprowadzałem się przez odrę, ojciec odwiedził mnie jeszcze

dwukrotnie, ale nie byłem tego świadomy.

Nareszcie babcia mogła sobie pozwolić na zrobienie porządnego prania, a ja pamiętam, że od tego właśnie momentu kończąca się choroba poczęła mi oddawać zmysły węchu i smaku. Czułem intensywny, gorący swąd mydlin, buchające opary z kotła, w którym gotowała się pościel, poznawałem zapach wody kolońskiej, która opryskiwał sobie twarz dziadek po ogoleniu zarostu brzytwą, wchłaniałem nozdrzami pachnącą lawendą parę powstałą podczas prasowania bielizny. Przede wszystkim jednak budził mnie do życia aromat piaskowej babki obsypanej pudrowym cukrem i kwaśna, soczysta woń zakupionych przez babcię lub przywiezionych ze wsi papierówek oraz pożądlivy zapach malinowego soku.

Zapachy, także ten poranny składający się z intensywnej woni świeżego chleba, masła i mleka, pobudzały wrażenia smakowe i wręcz przymuszały mnie do jedzenia, które przestało być skutkiem głodu a stawało się przemożną chęcią zrobienia sobie hedonistycznej przyjemności korzystania z najcudowniejszych smaków świata.

Mój mały organizm wiedział, jak sobie poradzić z okruchami pozostałymi po chorobie, jak zniweczyć choćby najmniejszą próbę jej nawrotu, jak upokorzyć wspomnienie o niej.

Nabierałem apetytu na życie. Posilony, bez oznak wcześniejszych dolegliwości, pozwalałem sobie na coraz częstsze wydobywanie się z pościeli, na pomoc babci w jej przygotowaniu obiadu, na grę w warcaby z dziadkiem, na czytanie książki pozostawionej przez mamę i oczywiście na obserwacje tego, co można było zobaczyć z okna wychodzącego na ulicę; a był to widok wielce zaspokajający dziecięcą wyobraźnię

Rozdział 7.

- Ach, to ten Paweł. Pamiętam go jeszcze za jego studenckich czasów. Taki zawsze był niepokorny i do tego zawołany kolekcjoner. Miał tę żyłkę po swoim ojcu. Zachodzili niemal do każdej kamieniczki na starym mieście za rzeką, zaglądali do piwnic i obórek. Za marny grosz oddawano im moździerze, młynki do kawy, deski do prania, nieużywane sztucce, takie tam pudełka metalowe z firmowymi napisami, różne bibeloty. Niektóre gospodynie to nawet wyciągały z komód stare kubraczki, fartuchy, kufajki i rękawice. Bywało, że zdejmowały ze ścian haftowane makatki, pan wie, takie z łabędziem albo kotkiem, z panią domu gotującą smacznie i zdrowo. A z piwnic i komórek wytaszczali jakieś skórzane pasy, noże, siekierki, kowadełka. Płacili za ten chłam niewiele, albo wcale, bo gospodarze cieszyli się, że pozbywają się obrastającego kurzem szmelcu. On po swoim ojcu odziedziczył to zamiłowanie, no i później poszedł na tę etnografię. Jednego roku nie zaliczył, bo gdzieś tam na Podhalu albo prędyj w Sudetach zajął się zbieractwem, co go tak pochłoneło, że nie nadszedł z egzaminami. Kiedy jako magister pełną gębą pojawił się w naszym domu kultury i zobaczył te moje rysuneczki i plakaty na ścianach, to pomimo szacunku, jakim mnie darzył, ileż to następował się na te prace, ale żeby nie robić mi przykrości powiedział, że kiedy zjawi się w tym miejscu za jakieś 20-30 lat, to i te moje prace będą miały dla niego znaczenie, jako pamiątka po latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. Nie pamiętam w jakim kontekście to mówił, bo przecież on miał bzika na punkcie kultury ludowej, a co ja... ja byłam co najwyżej projektantką nowej epoki, za którą on nie przepadał, bo zamiast dwuspadzistego polskiego dachu stawiała ona betonowe bloki z dachami prostymi jak boiska do siatkówki. Ale wie pan, tych moich prawdziwych obrazów to mu nie pokazałam, nigdy ich nie widział, podobnie jak pan. Pójdę zajrzeć do niego. Pomyślałam sobie, że powinienem w końcu zobaczyć te obrazy Anny.

Przymawia się do nich tak jakoś nieśmiało, ale widać, że jej zależy, aby ktoś przynajmniej rzucił na nie okiem, może pochwalił. Pewnie tylko profesor je widział, ale też nic o nich nie wspomina. To jakaś tajemnica?

Kiedyś ktoś opowiedział mi pewną ciekawą historię o jednym malarzu. Tę historię przytoczyłem w jednym ze swoich wczesnych opowiadań. Otóż pewien malarz X po zbliżeniu się do szczytu sławy momentalnie zaczął tracić powodzenie. Galerie, które dotąd z dużym powodzeniem sprzedawały jego oleje, pastele i gwasze, nagle stanęły przed wyborem: albo drastycznie obniżyć ceny za te prace, albo zapłacić nimi magazyny, chowając je przed wzrokiem marszandów, nowobogackich snobów, czy też przed zwykłymi miłośnikami sztuki, których najczęściej i tak nie było stać na zakupienie choćby najpospolitszego i najmniej wyrafinowanego w formie płótna. Początkowo właściciele galerii radzili sobie w ten sposób, że ofiarowali obrazy malarza X jako nagrody w rozmaitych konkursach, albo też przeznaczali je jako element wystroju wnętrz w urzędach. Pieniądze jakie otrzymywali w ten sposób od sponsorów nie były jednak wielkie, a sam malarz dostawał z tego grosze. Do tego wszystkiego dwóch liczących się w kraju krytyków sztuki, analizując prace X z ostatniego okresu i porównując je z tymi, dzięki którym zyskał sławę i spore, jak na początek kariery, pieniądze, ogłosili schyłek jego kariery, że nie jest w stanie niczego nowego wymyśleć, powielił stare schematy, jego ręka nie jest już taka świeża, a nawet technicznie z biegiem lat są to prace gorsze. Żyjący podówczas w przysłowiowej nędzy X związał się był z młodą studentką ekonomii, której początkowo imponował sam X bardziej jako mężczyzna aniżeli malarz. Rozumiała jego sztukę tylko wtedy, gdy jej o niej opowiadał, kiedy przypatrywała się jego pracy, gdy towarzyszyła procesowi powstawania obrazu od studium poprzez szkicu, aż po zakończenie dzieła sygnowanego jego podpisem. Sprawiało jej przyjemność pozowanie do aktów, choć nie były to obrazy realistyczne i z trudem rozpoznawała w nich siebie. O ile w rozbudowanych projektach malarskich, będących artystycznym

rozwinęciem jego wizji i mrocznych snów, jego malarstwo zbliżało się do ekspresjonizmu, to w portretach, także w aktach skupiała się mania przedstawiania postaci na wzór baśniowych sylwetek właściwych sztuce naiwnej, sylwetek wkomponowanych w przesadnie ukwiecony i nadmiernie kolorystycznie (aż oczy bolały od patrzenia) pejzaż, niemający wiele wspólnego z rzeczywistością. Kiedyś powiedziała mu, że nie życzy sobie, aby jej nagie, pogrubione i nierealistycznie brązowe ciało leżało sobie na gumnie, na podwórzu wiejskiego obejścia wśród dumnie krocących wokół niej, przesadnie wielkich kogutów, kaczek i kur, które wydziobują karmę, jaką posypane są jej uda, ramiona i brzuch. Udał, że nie rozumie jej sprzeciwu. Namalował kolejny akt, który również nie przypadł jej do gustu, gdyż, jak powiedziała, przypomina na nim kurtyzanę. Koniec końców zrezygnował z jej portretowania, przestali się spierać, a prawdziwe porozumienie następowało nocą w łóżku.

Wydawało się, że kiedy sławę X dopadł zmierzch i pogrążył ją w mroku zapomnienia, owa panna, już absolwentka uczelni, pożegna swego kochanka i niedocenianego portrecistę. Nic podobnego. Pozostała przy nim, jak to mówią, na dobre i na złe. Namówiła go do wyjazdu do zapadłej wioski na południu kraju i przez ponad rok słuch o dawnym mistrzu pędzla zaginął. Nikt zresztą nie śledził losów malarza, którego talent przepadł bezpowrotnie.

I oto pewnego dnia w wysokonakładowej prasie ukazała sucha informacja o tym, że X-owi zmarło się przed miesiącem w zapadłej głuszy, z dala od cywilizacji. Wiadomość o jego śmierci kończyło proste zdanie: „Bóg zabrał go do siebie przy sztaludze”.

Po tygodniu, może dwóch w jednej ze stołecznych galerii pojawiła się ona - wieloletnia towarzyszka życia X. Pojawiła się, jak na partnerkę życiową przystało, w stonowanej czerni, z pokaźnych rozmiarów teką, która zawierała dwa gwasze i dwa pastele.

- Bierzemy, droga pani. Damy tyle a tyle - usłyszała od właściciela galerii, który jeszcze przed trzema laty nie dałby za prace X złamanego grosza.

Za tydzień pojawiła się w innej galerii z dwoma olejami i uzyskała bez trudu żadaną cenę.

- Mam jeszcze kilka jego obrazów, które namalował bezpośrednio przed śmiercią, ale nie jestem pewna ich wartości - oświadczyła.

- Może być pani pewna, że u nas dostanie pani za nie adekwatną cenę. Wyplacimy nawet zadatek, aby nie szła pani z nimi do konkurencji.

X po swej śmierci wymyślonej przez partnerkę życiową, namalował jeszcze kilkanaście obrazów, które sprzedawały się jak chrupiące bułeczki, pomimo tego, że podobno X był już jako malarz skończony, zagubił gdzieś oryginalność formy i faktury, powielał stare tematy i grzeszył nieświeżością ręki.

Nie minął rok, jak X ze swoją partnerką wyjechali za granicę. Ona do dziś prowadzi butik z orientálną odzieżą; on zatrudnił się w jakimś wydawnictwie specjalizującym się w produkcji komiksów dla najmłodszych.

- Chyba dzisiaj nic z tego - powiedziała wracając z pokoju profesora do kuchni, w której siedzieliśmy. - Wciąż gorączkuje. Lekarz mówił, że może to jeszcze potrwać. Ma silny organizm, więc gorączkuje. Powiedział nawet, że to lepiej, bo wtedy organizm się broni. Ale żeby chorować na ospę wietrzną w jego wieku? To wprost nie do pomyślenia! A pan jest zawiedziony. Wiele już pan napisał?

- Jest trochę tego, ale chciałbym zrównoważyć nasze opowieści. Widzi pani, profesor jest w końcu inicjatorem tego przedsięwzięcia, a tak mało mam jego materiałów.

- I co będzie?

- Muszę poczekać, aż wyzdrowieje. Nie będę go przecież nagabywał akurat teraz, podczas choroby. Albo... wie pani co - zmieniłem zdanie. - Może pani opowie mi coś o sobie?

- Ja? O mój Boże, a co ja mam do powiedzenia.?

- Przecież pani chciała, przypominam sobie.

- Niby tak, ale ja jestem najmniej ważna.

- Tak pani myśli? A nie chciałaby pani czegoś opowiedzieć o swojej

pracy przy obrazach. Przy okazji bym je obejrzał. Albo... wie pani co? A gdyby pomiędzy tekst wcisnąć... źle się wyraziłem... a gdyby tak ozdobić naszą wspólną książkę pani obrazami?

- O mój Boże, czy ja na to zasługuję? Jestem prostą kobietą, a to, co maluję, bo ja wciąż maluję, wie pan, to wszystko robię dla siebie. nawet pan profesor nie widział wszystkich moich obrazów. Naprawdę chciałby pan je obejrzeć?

- Naprawdę.

- O mój Boże, ale nie dzisiaj. Do tego potrzeba innego światła. Zresztą, musiałabym je uporządkować. Obiecuję panu, że następnym razem...

Jej głos ugrzązł nagle.

- Zrobię jeszcze herbaty.

Robiła herbatę, a przy okazji zgarnęła na półmisek parę mandarynek i kawałek niedzielnej babki piaskowej, cały czas mruczając pod nosem:

- Ospa wietrzna w takim wieku, no proszę. Nawet lekarz był bardzo zdziwiony, oszołomiony nawet... mówił, że pierwszy raz spotkał się z czymś takim w j e g o wieku - przeciągnęła „jego”, jak sądził, z szacunku dla łacinnika, człowieka, który, choć w papierach miał napisane: kawaler, tak bardzo do niej przylgnął i ośłodził jej życie; swoje pewnie także, bo darzył ją ogromnym szacunkiem; a ten sposób patrzenia na nią, chwytanie się jej dłoni, uśmiech z jakim zwracał się do niej wypowiadając jej imię...

- Wie pani, ja starałem się dotrzeć do tych pierwszych lat, jakie spędził pan profesor w naszym miasteczku, a przypadały one mniej więcej na czas moich narodzin - zacząłem swą opowieść mieszając podstawioną mi herbatę srebrną, błyszczącą łyżeczką. - Zdaje się, że wtedy, u zarania swojej nauczycielskiej kariery w naszym liceum, spotkały go jakieś przykrości i miało to związek z kobietami, bardzo młodymi kobietami.

- To i o tym pan wie? - zacięła się.

- Skoro już zagłębiam się w historię swoją i moich miejscowych bohaterów, poczyniłem pewne rozmowy, chociaż niewielu ludzi

pamięta takie szczegóły, a wielu już odeszło z tego świata.

- Faktycznie, to było bardzo dawno temu. Początek lat sześćdziesiątych. Tak, była taka historia, ale może zacznę od tej, której chyba nikt poza mną nie wie. Ta zdarzyła się wcześniej, gdy wstępował na studia, zaraz po październikowym przesileniu. Profesor pochodził z miasteczka na północnym Mazowszu. Zdał właśnie dużą, jak to się mówiło, maturę i aspirował na Uniwersytet Warszawski, z powodzeniem zresztą, ale nie to jest istotne. Otóż pewnego razu do akademika, w którym mieszkał (był na pierwszym roku) doszedł do niego list od nieznajomej dziewczyny, list, w którym było też i zdjęcie młodziutkiej panny, zdjęcie towarzyszące tej wielce uczuciowej epistole, którą dawała studentowi do zrozumienia, że jest, ba, była i jest nim zauroczona. Pisała, że zna go ze szkoły, aczkolwiek uczęszczała do młodszej o dwa lata klasy, a zatem student może jej nie pamiętać. To z kolei skłoniło ją do tego, aby w sposób możliwie najdokładniejszy opisać (pomimo przestanego zdjęcia) i siebie, i okoliczności, w których oboje musieli się widzieć, a nawet o czymś błahym rozmawiali. Profesor, podówczas student, zachodził w głowę, aby ze swej pamięci wystrugać choćby niewielki skrawek tej znajomości. Bezskutecznie. Bo trzeba panu wiedzieć, że pana profesora od najmłodszych lat interesowała nauka, zwłaszcza literatura, łacina i greka i z tą swoją pasją spędzał nie tylko szkolne dni i miesiące, ale również zarywał czytaniem noce, nie zważając na to, co się wokół niego dzieje. Ot, był to przypadek, że się tak wyrażę odosobniony i nieuleczalny; żadnych zabaw, żadnych wspólnych młodzieńczych radości, no może trochę społecznictwa, bo w tamtym okresie czasu na to zwracano, nawet nadmiernie, uwagę. Nie było do pomyslenia spotkać profesora z jaką panną, za wyjątkiem kontaktów mających bezpośredni związek ze szkołą i zadaniami z literatury, jakimi zarzucano uczniów; wtedy, jak najbardziej, pomagał, nawet wypracowania pisał tym, którzy go o to poprosili, a najczęściej dopomagał w nauce bezpłatnymi korepetycjami rówieśnikom, młodszym od siebie, ale też i starszym.

Nic też dziwnego, że profesor-student po otrzymaniu listu (zachował go i następne, bo wkrótce nadchodziły nowe; pokazywał mi, a jakże) nie potrafił ani uwierzyć w jego treść, ani też w istnienie tej uroczej, jak się kiedyś wyraził, nadawczyni, choć przecież tak szczegółowo się w nim opisywała, podając oczywiście swoje personalia. Nadszedł potem list drugi i trzeci, i kolejne; na każdy z nich odpowiadał, nie kryjąc swej radości z otrzymywania tej niezwyklej korespondencji, ale i szczerego zdziwienia tym, że on, pochłonięty bez reszty przez naukę, niewidzący poza nią świata, on odludek i najmniej towarzyska osoba ze swego rocznika, może się stać obiektem westchnień wciąż nieznanej mu dziewczyny, z którą z pewnością wymieniali swego czasu spojrzenia, lecz nie były one dość silne, aby zniweczyć dzieło życia, do którego został stworzony, a więc do nauki i naukowej pracy.

I oto pewnego razu zjechał do swego miasteczka na wielkanocną przerwę w odbywaniu studiów, i, rzecz ciekawa, w ostatnim liście poinformował swoją adoratorkę, że tego i tego dnia spotkają się w umówionym miejscu gdzieś na mieście. Pan sobie wyobrazi, że po raz pierwszy w życiu umówił się na randkę. Ha, widzę pana zaciekawienie: jak przebiegło to spotkanie? czy było warte tych drogą listowną przesyłanych uczuć, opisów i refleksji. Otóż i do tego spotkania nie doszło. Pan profesor zaręcza, że z jego winy. Owszem, w umówionym miejscu stawiał się jeszcze przed czasem, ale owej panny, nadawczyni listu nie rozpoznał. Powiadał mi, że istotnie miał wrażenie, że na skwerku przy muzeum, gdzie się umówili, siedziała na ławeczce jakaś dziewczyna, lecz czy to jej nie rozpoznał, czy też zawładnęła nim nieśmiałość, słowem, nie podszedł do niej, a ona, no cóż..

- Anno, ona prawdopodobnie stwierdziła (jeżeli to była ona), iż pomimo tego, że pojawiłem się w umówionym miejscu, ale najwidoczniej nie jestem nią zainteresowany, skoro zignorowałem jej obecność. Mniemam, że uniosła się dumą i niepostrzeżenie odeszła, a ja, no cóż, Anno, ja jeszcze tego samego dnia doznałem olśnienia, spojrzałem na jej zdjęcie, długo na nie patrzyłem i

stwierdziłem ponieważ, że to była właśnie ona. Szukałem jej, długo jej szukałem. Nie odnalazłem. I nie odnalazłem już w recepcji akademika listu od niej. Przepadło jej zauroczenie, tak jak przepadła szansa, abym mógł kiedykolwiek później spojrzeć jej w oczy, przeprosić, a może i związać się z nią na stałe, bo w tych pisanych do siebie listach wyczułem u siebie załączek przyszłego uczucia, którego, Anno, w tych pracowitych i bezsennych latach bardzo mi brakowało i, słowo daję wtedy, owładnięty uczuciem które mnie otaczało z jej strony... wtedy gotów byłem popełnić każde szaleństwo, aby choć na chwilę znaleźć wytchnienie od studenckiej pracy, która wypełniała mi wtedy całe życie.

- To słowa profesora, tak mi to wyjaśnił. Nie uwierzy pan, ale pan profesor, wtedy student, ilekroć zjeżdżał do domu, podążał na ten skwerek, siadywał na ławeczce, na której ona kiedyś siedziała... i czekał.

- Interesująca historia, która przedstawia pana profesora ze strony, jakiej dotąd nie poznałem - stwierdziłem, obierając soczystą mandarynkę z pomarszczonej, cienkiej skórki.

- Pan o tym napisze, prawda? Pan profesor nie tylko się nie obrazi, ale i, mówił mi o tym, może ta dziewczyna, dzisiaj dorosła kobieta, weźmie do ręki naszą księgę i odczyta w niej ten fragment.

- Pan profesor jest sentymentalny - stwierdziłem bez cienia ironii.

- Oczywiście że przytoczę ten wątek.

W kuchni roztaczał się przyjemny słodko-kwaśny zapach mandarynek i bardziej słodki, cytrynowo-czekoladowy piaskowej babki. Za oknem zniżało się słońce, odbijając zrudziałe promienie od wysokich, napuszonych, seledynowych liści pelargonii.

- A ta druga sprawa mogła się zakończyć bardzo źle dla pana profesora.

- Aż tak?

- Oczywiście. Zostawiliśmy pana profesora na tym skwerku w jego miasteczku i na uczelni, załamane, zdegrustowane swoim zachowaniem, bezowocnie tropiącego swą zdobycz; a właściwie to zdobycz tropił w tym przypadku myśliwego. Minęły lata studiów,

ukończonych z wyróżnieniem i pan absolwent polonistyki, tudzież z fakultetem z klasycznej łaciny, otrzymał nakaz pracy w tutejszym liceum. Marzyła mu się kariera na uczelni, ale czy to niedostatecznie zabiegał o nią, czy też odczytał w sobie powołanie do nauczania młodych, acz niekoniecznie studentów, dość powiedzieć, że nakazu pracy w naszym miasteczku nie potraktował jako wygnania. Osiedlając się w Żytowie, jedynym dyskomfortem, jaki odczuwał było to, że pracować będzie z dala od rodzinnego domu, gdzie ojciec i matka, ubodzy, prości ludzie, pewnie by kipieli z radości, mając u swego boku syna, który tak zasłużoną sławą okrywa ich rodzinę. Ale przecież jeździł do nich, odwiedzał w wakacje i święta i wraz nimi obnosili po rodzinnym miasteczku radość. Nie można zapominać o tym, że nawet podczas tych sielankowych spacerów z rodzicami, pan profesor, w tym czasie nauczyciel liceum w naszym mieście, poszukiwał jeszcze śladów swego niedoszłego, a tak boleśnie zniweczonego przez niego samego uczucia.

I pewnie poszukiwanie to trwałoby kilka lat kolejnych, gdyby nie pewna maturzystka, którą od września uczył. Teraz ona bez reszty zawładnęła sercem profesora. Pan pewnie teraz raczy sądzić, że tak jak pan profesor dzisiaj sentymentalnym się panu wydaje, tak za swojej młodości był kochliwym. Niezupełnie to prawda, ale o tym później powiem. Ale niech pan sobie wyobrazi sytuację taką: on, może nie piękny, ale przystojny, zaraz po studiach, czytany, pogodny, pomocny, cóż z tego, że mało towarzyski, trafia pod strzechy naszej licealnej szkoły, trafia akurat do maturalnej, także innych, ale przede wszystkim maturalnej, gdzie dano mu wychowawstwo po nauczycielce, która powiła dziecko, i styka się z młodzieżą już niemal dorosłą, fizycznie ukształtowaną. Pośród niej występuje ona, brunetka, śniada, czystej wody szkolna piękność, skromna, a do tego w nowego wychowawcę zapatrzona jak obrazek, a taka podatna na każde jego słowo, tak ambitna, aby sprostać wszelkim jego zadaniom, które poleca wykonać i jej i klasie, że w końcu musiało chyba dojść do tego spotkania, romansowego, czego

pan profesor nie zaprzecza, w ukryciu wprawdzie, choć ona pełnoletnia, lecz w końcu uczennica, a Żytowo to miejscina, gdzie żadna tajemnica się nie uchowa. Mało tego, są i wspólne plany na przyszłość; oboje zdają się być zaangażowani, rodzice dziewczyny wprawdzie o niczym nie wiedzą, lecz podejrzewają. Profesor z trudem ukrywa swoje nagłe uczucie. Wie, że nie może wybranki serca faworyzować, lecz młodzież ma najbystrzejsze oczy i przez nią stara się wymusić na profesorze, aby uszczknął coś ze swojej surowości, aby był mniej wymagający dla klasy. Ten ulega urokowi dziewczyny i zaczyna się nie rozpoznawać w nowej sytuacji, stąpa na granicy, do przekroczenia której jest o krok. Nareszcie wzywa go dyrektor do gabinetu; stawia sprawę jasno: żadnego skandalu; na to nie pozwoli. Proszę bardzo za rok, kiedy sprawa ucichnie; są młodzi, dorośli, mają prawo uczynić ze swoim życiem, co tylko im się podoba, ale nie teraz, nie w jego szkole. Dziwnym zbiegiem okoliczności o amorach nauczyciela i uczennicy dowiadują się jej rodzice, sprawa staje się przynajmniej na szczeblu rodziny maturzystki głośnią, następuje ciche zerwanie pozaszkolnych kontaktów, a ukoronowaniem całej sprawy staje się karteczka wsunięta pomiędzy łydźki róż w bukietie podarowanym profesorowi podczas wręczania świadectw maturalnych, karteczka z krótkim, lecz wiele znaczącym „przepraszam”. A co było potem?

Dziewczyna wyjechała, opuściła miasto, bynajmniej nie z powodu tej historii, ot, jej rodzice wyprowadzili się z naszego miasta; ona pewnie została studentką, zdolna była i pracowita, ale do miasteczka już nigdy nie powróciła. I taka to była ta druga historia naszego profesora, która omal nie skończyła się skandalem i pożegnaniem się z karierą w żytowskim liceum. Co dalej?

- Anno, od tej pory zaniechałem nawet jakichkolwiek myśli o założeniu rodziny. Powiesz, że to nierozsądne, jak na człowieka, który w całym swoim życiu starał się kierować rozumem i nie pozwalał sobie, poza tymi dwoma przypadkami, angażować swoich uczuć... aż do chwili, kiedy ciebie poznałem i to w wieku, w którym na mówieniu o założeniu rodziny w potocznym rozumieniu jest już

za późno; natomiast na taką bliską przyjaźń, nie nazywajmy tego uczucia miłością, na tę przyjaźń, jak sadzę, nigdy nie jest za późno.

- Tak właśnie odpowiedział pan profesor.

Miała tak bardzo zaczerwienione oczy.

- To nic, zaraz mi przejdzie - powiedziała.

Rozdział 8.

Nie przepadł mi ten dzień pomimo tego, że nie mogłem rozmawiać z profesorem. Przed jedenastą wieczorem (to może nieodpowiednia pora na telefon, wiem) zadzwoniłem do Anny, aby dowiedzieć się, czy przez tych kilka godzin stan zdrowia profesora nie uległ, odpukać, pogorszeniu. Okazało się jednak, że jeśli już to się poprawia; gorączka mniejsza, tylko te krosty na czole, na brzuchu i plecach dają o sobie znać swędzeniem. Swędzeniem, a więc wraca do zdrowia, choć w jego wieku (aż nie dawałem wiary, że to wietrzna ospa) taka dziecinna choroba potrafi uczynić wielkie spustoszenie w organizmie... ale w końcu ma najlepszą w mieście opiekę.

Ochłonałem.

Żona jak zwykle zapytała, kiedy do niej wrócę, a ja zwyczajowo odparłem, że jak skończę. Nie marudziła wiele, przyzwyczajona do mojego nocnego pisania, nawet zrobiła herbaty, kanapki z szynką, choć wiedziała, że nie powinienem się obżerać na noc. Ale ja do tej swojej nocy, do zaśnięcia miałem jeszcze dwie, może nawet trzy godziny, bo koniecznie chciałem własnymi słowami opisać to, o czym opowiedziała mi Anna i skorygować przy okazji przedostatni rozdział.

Muszę powiedzieć, że chłoneę zasłyszane opowieści jednym tchem; może to przyzwyczajenie, a może rutyna. Rzadko polegam na

odręcznie porobionych własnych notatkach, no chyba że w przypadku dat i nazwisk - te najszybciej ulatują z pamięci. Pisałem jednostajnie, rytmicznie i, jak sądzę, precyzyjnie oddawałem zasłyszane wątki z biografii profesora. Intrygowało mnie coś innego. Obrazy Anny. Zdawało mi się, że z jednej strony chciała mi je pokazać, a z drugiej... tak jakby obawiała się czegoś. Może skrywają w sobie jakieś tajemnice? Może przerażają? Może sama autorka ma o nich nienajlepsze zdanie? I jakie znaczenie ma fakt, iż powinno się je oglądać we właściwym, rozumie, naturalnym albo wystarczająco intensywnym, elektrycznym świetle? Gdyby chodziło o sam proces twórczy, to oczywiście nie dziwiłbym się tej konieczności dobrego oświetlenia modeli, jeśli mamy do czynienia z malarstwem portretowym czy rodzajowym, lub w przypadku pejzaży światłem dnia, nawet przymglonym, walczącym z cieniem, lecz wciąż pozwalającym na uchwycenie zmysłami barw i całej ich zawitości odcieni. Rzecz ciekawa, że sam profesor, który je widział też unika rozmowy na ich temat.

Piszę powoli, dwoma palcami, czasami przestaję, łykam kawę, wbijam zęby w kanapkę z szynką, zapalam papierosa, palę przy otwartym oknie, przenika mnie chłód, wdziewam kamizelkę, dopalam papierosa, spoglądając na blok naprzeciwko, w którym już wszystkie światła pogaszono, odgaszam papierosa, zamykam okno i wracam do pisania dwoma palcami. Na ekranie monitora pojawiają się kolejne znaki, wracam do zapisanego tekstu, poprawiam albo tylko czytam na głos ponownie. Słyszę potem ciszę, przez którą przedostaje się delikatne pochrapywanie żony, a kiedy kończę jeden z akapitów, widzę jak w przedpokoju zapala się światło; córka szura kapciami przechodząc od swego pokoju do łazienki; potem odgłos spłuczki, skrzypiący dźwięk wody puszczanej z kranu, i znów „szur”, „szur”, i leciutkie stukanie do drzwi, a właściwie w szybę w nich osadzoną. Córka uchyla je, wsuwa głowę do środka, zerka na mnie, czekając, aż zwrócę twarz w jej stronę.

- I znów nie powiedziałeś mi przed snem dobranoc, tatku.

- No tak, nie odpowiedziałem - mój szept jest niemal niesłyszalny. -

Dobranoc, skarbie.

Córka jest usatysfakcjonowana. Uśmiecha się, choć jest to uśmiech przez sen, jakby uśmiechając się do mnie śniła jeszcze, trwała w letargu wyznaczonym przez podpowiekową patronkę nocy rozdającą marzenia senne albo groźne, szalone, monstrualnej wielkości obrazy-widma, którymi ja męczy, aż do chwili, kiedy pozwala jej się przebudzić... bo moja córka uśmiecha się również przez sen, szczęściara.

Nie wiem, czy jej zainteresowanie literaturą jest rzeczywiste, czy czyta książki dlatego, że ja je piszę. Oczywiście czyta również książki, których ja nie napisałem, ale moje traktuje jakoś specjalnie, czemu w końcu się nie dziwię, bo przecież większość z nich powstała tutaj, zaledwie kilka kroków od jej pokoju; mało tego - wiele razy dawałem jej do przeczytania jakiś fragment, który dopiero co skończyłem; oczywiście miała go ocenić.

- Jak to według ciebie brzmi? - pytałem, a ona tuż po przeczytaniu najpierw dawała mi najlepszą notę, by po chwili poddać przeczytany fragment krytyce. Tu mam coś ująć, tam dodać, przestawić szyk wyrazów, albo: - Jeszcze raz to napisz, może zabrzmieć (posługuje się tym „moim” słowem jakby od niechcenia) to jeszcze lepiej.

Jest uczulona na moje słowa, poznaje najdrobniejszy fałsz, albo to, że ostatniej nocy nie byłem sobą, albo byłem zmęczony, nie postarałem się, coś mi przeszkodziło, może kolacja mi nie smakowała; stara się za wszelką cenę wymyślić jakiś powód, aby usprawiedliwić swoje uwagi, którymi albo zmobilizuje mnie do poczynienia drobnych lub większych poprawek, albo skwituje to, co napisałem krótkim: „musisz odpocząć”.

Czy podoba jej się jak piszę?

- Jakoś za łatwo przychodzą ci słowa - powiedziała kiedyś odkładając gotowy, bodajże drugi zbiór opowiadań. - Czyta się łatwo i przyjemnie, choć, nie obraź się tatku, wydaje mi się, że zbyt dużo emocji wkładasz w swoje pisanie. Niby niczego nie objaśniasz do końca, zostawiasz pauzy, kończysz w takim punkcie, w którym czytelnik sam ma obowiązek dopisać właściwe

dokończenie, ale jeśli nawet nie komentujesz zachowania swoich bohaterów, to widać, że trzymasz ich stronę i potrafisz ich postępowanie tak przebiegle wytłumaczyć, że właściwie nie pozostawiasz czytelnikowi wyboru; musi zaakceptować twój punkt widzenia. Może potrzeba trochę więcej dystansu, nie sądzisz?

- Myślisz, że ulegam dydaktyzmowi? Mówię zbyt wiele i niepotrzebnie? Staram się przekonać czytelnika do swoich racji, pouczając go?

- Do pewnego stopnia tak jest. Dzisiejsi autorzy zwykle przedstawiają świat takim jest, przytaczają fakty, które ubarwiają ironią, zdają się mówić: - ja już napisałem, skończyłem, teraz ty, czytelniku. Zero zakamuflowanej nawet oceny. Piszą jednostajnym rytmem, wypracowując sobie styl, który albo razi, albo też zyskuje aprobatę.

- Czy uważasz, że to lepiej? Pomyśl, na dwu sąsiednich stronicach, nich będzie rozdziałach, podejmujesz się opisanie pogrzebu i wesela. Czy oba te wydarzenia należy traktować równoważnie i sączyć jednakowym ciągiem słów opowieść z jednej strony przykrą, wymagającą refleksji, spowolnienia, zastanowienia, a w innym miejscu tym samym rytmem przedstawić scenę, która, przynajmniej dla nowożeńców i ich najbliższych staje się załącznikiem przyszłej pomyślności i szczęścia? To tak jak w gazecie: na jednej szpalcie kondolencje, ogłoszenie o zagubionym piesku i zaproszenie do nowo otwartej cukierni; ten sam druk, ta sama czcionka, a treści odmienne. Dożyliśmy czasów, w których rozsypała się hierarchia wartości. Nie możemy jedynie opisywać zjawisk, nie bacząc na ich skutki; potrzebne jest zaangażowanie, niekoniecznie poprzez zajmowanie twardego stanowiska - tu jest pole popisu dla formy utworu, ale też nie można opisując zło, nie potępiać go, czy choćby sygnalizować nasz sprzeciw wobec niego.

- A jeśli to, o czym mówisz, to styl przebrzmiały, którego już rzadko kto używa, a to zaangażowanie odnajdziesz w literaturze faktu?

- Dobra literatura faktu nie wskazuje tylko jednego rozwiązania, a

jeśli tak czyni, to pochopnie...

I moglibyśmy długo dyskutować w ten sposób. Córka jest przed maturą i wybiera się na kulturoznawstwo. Tam też zarzuca na nią literackie i krytycznoliterackie sieci.

Teraz już śpi. Kontynuuję pisanie. Po jakimś czasie kolejny papieros przy otwartym oknie i resztki herbaty do wypicia. Skończyłem. zamiast do łóżka przechodzę do jednego z wcześniejszych rozdziałów.

- A dlaczego on cały czas idzie z nami? - zapytał.

Uśmiechnęła się do niego z pobłażaniem

- To chyba lepiej, że nam towarzyszy, prawda? Oświetla nam drogę. Szli szybko, aby nie czuć przenikliwego zimna, jakie od popołudnia przywiewał północny wiatr. Przymrozek już chwycił i podłużne kałuże rozpościerające się to tu, to tam wzdłuż kamienistej drogi pokrywały szkliste tafle skuwanej mrozem wody. Całe szczęście, pomyślała, a może pomyśleli oboje, że wiatr późnym wieczorem ucichł, bo wtedy musieliby przyspieszyć kroku, aby się rozgrzać. W ogóle to zapanowała cisza i słychać było tylko pod podeszwami chrzęszczenie zastygłego błota lub chrupanie cienkiego lodu, jaki pojawił się na nierównych płytach chodnikowych. Księżyc spoglądał na nich z wysoka, srebrzysty, z taką obwódką wokół swojej twarzy jaką mają święci na obrazach w kościele, no i towarzyszył im w tej spóźnionej przechadzce do domu.

- A czy to prawda, że na księżycu żyją ludzie? - zapytał. Był na etapie zadawania pytań.

- Chyba nie - odparła. - Tam nie ma powietrza i człowiek nie miałby czym oddychać.

- A Twardowski?

- To legenda, bajka kochanie. W bajce wszystko jest możliwe.

- Mamusiu, bo mnie się wydaje, że ten księżyc to ma twarz całkiem podobną do ludzkich twarzy. No, zobacz mamó - przystanęli a chłopczyk utkwiał wzrok w okrągłej srebrzystej tarczy tego, co im towarzyszy w drodze. - Spójrz, tam ma oczy, nos, policzki, jakieś zmarszczki. Znacznie lepiej to wszystko widać, kiedy wstaje taki

ogromny, rudy i jest całkiem blisko, tuż nad drzewami. Lubię go właśnie takim... potem kiedy - zawahał się - kiedy się starzeje, robi się mniejszy i mniejszy, jak piłka.

Ścisnęła mocniej jego lewą dłoń i ruszyli dalej.

- Włóż drugą rękę do kieszeni, bo ci zmarznie. Powinieneś pamiętać o rękawiczkach. Mam nadzieję, że zostawiłeś je u mnie w pracy, a nie zgubiłeś ich.

- Na pewno zostawiłem je na krześle, na którym siedziałem. Nie zginą?

- Nie zginą. Pani sprzątaczką z pewnością położy je na wieszaku. Będzie wiedziała, że są twoje. U mnie w pracy nikt nie ma takich małych rączek. Nie jest ci zimno?

- Nie. Myślę o tym księżycu.

- Wiesz. Kiedy księżyc, jak to mówisz, starzeje się, robi się mniejszy. To całkiem podobnie jak z ludźmi. Z wiekiem kurczą się, garbią. Dziadek powiedziałby, że się wdeptują.

- To ja kiedy się postarzeję, będę niższy niż teraz?

- Nic podobnego. Ty musisz najpierw dorosnąć. Musisz urósć i dopiero za bardzo, bardzo dużo lat skurczysz się tak jak ja.

- Ale ty, mamusiu nie kurczysz się i nie jesteś jeszcze stara.

- To prawda, nie jestem stara, ale niedługo będę.

Znów przystanęli. Malec wyrwał się matce z ręki, aby przejść się po skutej lodem kałuży. Lód ugiął się jak plastelina, gdy ją lekko pocisnąć podszwami butów. Matka pozwoliła mu na ten moment niesubordynacji i kiedy przemierzał tafłę świeżego, jeszcze niedostatecznie twardego lodu, przytrzymała go za ramię.

- Szkoda, że nie jesteśmy drzewami - powiedział nagle, kiedy z powrotem matka chwyciła go za rękę i przymusiła do dalszej drogi.

- Dlaczego? - zapytała.

- Bo drzewa tylko rosną... rosną.

Szli dalej. Przeszli przez tory kolejowe i znaleźli się w parku. Tu było ciemniej niż na otwartej przestrzeni pomiędzy miasteczkiem a osadą. Wysokie drzewa, dęby, lipy i klony przestaniały srebrzysty blask bijący od księżyca. Matka nie lubiła wtedy chodzić wieczorami,

choć przesadnie nie bała się ciemności. W tym starym parku, który otaczał ze wszystkich stron dworek, pełniący dziś funkcję siedziby gminnej rady narodowej, gnieździły się sowy i akurat idąc główną alejką, usłyszeli ich pohukiwania. Malec nie przestraszył się tych przytłumionych, gardłowych skowytów-pogwizdów. Możliwe dlatego, że szedł za rękę z matką, a może z tego powodu, że pamiętał radę ojca: „Pamiętaj chłopcze, jeśli już masz się kogoś bać, to bój się człowieka, nie zwierzęcia.”

- Mamusiu, będziesz jeszcze miała bilans? - zapytał, kiedy wyszli już z parku i przed nimi świeciła jasno dziesiątkiem żarówek „choinka” - tak nazywali dwa sąsiadujące z sobą, wysokie piece do palenia wapna w cukrowni.

- Nie, kochanie. Dzisiaj miałam ostatni dzień bilansu. Wiesz, kochanie, zmieniam niedługo pracę. Będę pracowała w biurze cukrowni.

- Tam gdzie tata?

- Tak, tylko w biurze. Cieszysz się?

- Bardzo... ale, mamusiu, czy to oznacza, że nie będziemy już wracać z miasta o tej porze?

- Dlaczego nie? Będziemy od czasu do czasu jeździć do miasta autobusem, do babci, a jak nie będzie zimno i nie będzie padało, przejdziemy się tak jak dzisiaj.

Chłopiec był bardzo zadowolony. Im bardziej zbliżali się do domu stojącego za stawami, tym mniej myślał o księżycu, a kiedy doszli do stawu, w którym prawie nigdy nie zamarzała woda, dojrzał parę łąbędzy, które umyśliły sobie spędzić tutaj zimę. Z prawej kieszeni kurtki wysupłał przepołowione ciastko, które przezornie wziął od babci. Wziął rozmach i rzucił dwie połówki ciastka w miejsce, gdzie pływały łąbędzie. Zobaczył jak ptaki zareagowały na rzuconą karmę, podpłynęły dostojnie w ich pobliże i precyzyjnie zlokalizowały długimi dziobami zdobycz. Matka z uśmiechem spojrzała na syna. Przystanęli na chwilę, aby popatrzeć jak oba łąbędzie bez niepotrzebnych kłótni gruchoczą dziobami swoją część ciastka, a po ich przetknięciu z jakimś tęsknym smutkiem w oczach (widzieli

to, bo akurat w pobliżu paliło się światło latarni) spojrzali w ich stron.

Tato poszedł do cukrowni na nocną zmianę. W domu oprócz nich zostali jeszcze babcia z dziadkiem ze strony ojca. Po kolacji, późniejszej niż zwykle, matka wsunęła się pod kołdrę, a za nią malec. Matka przywykła do czytania przed snem. Nie inaczej było i tym razem. Czytała w pozycji półsiedzącej, trzymając w otwartych dłoniach książkę. Chłopiec wsunął się pod jej ramię i zerknął na drukowany tekst. Co jakiś czas matka przewracała kartki.

- Mamusiu, możesz trochę wolniej.

Wiedziała, że syn lubi towarzyszyć jej podczas czytania.

- A czy ty rozumiesz to, co czytasz? - zapytała.

- Pewnie, że rozumiem - odparł z dumą i wodził wzrokiem po literowych szlaczkach pisma drukowanego większą niż typowa dla książek czcionką. Kiedy później przypomni sobie to wspólne z matką czytanie, dojdzie do wniosku, że matka, nie zdradzając się przed nim, specjalnie wybierała na nocną lekturę książkę z większą czcionką, aby i on, spoglądając przez matki ramię, mógł czytać swobodnie.

Od tej chwili matka obracała kartki wolniej. Czekala na znak dany jej przez syna. Było to takie „uhm”, odgłos przypominający pohukiwanie sowy. A kiedy za którymś z kolei przewróceniem kartki nie usłyszała tego odgłosu, odwróciła w jego stronę głowę i przekonawszy się, że ma zamknięte oczy, zaznaczyła tasiemką przytroczoną do okładki miejsce, w którym zakończyła czytanie i odłożyła książkę na szafkę nocną przylegającą do łóżka, a potem zgasła lampkę.

- Szkoda, że ja nie pozwoliłem córce tak czytać - pomyślałem, wyłączając komputer.

Zgasilem w pokoju światło i po omacku skierowałem się do drzwi, potem do drzwi toalety i w końcu do tych od sypialni. Żona leżała na prawym boku przykulona, z okrytymi nogami, które były ciepłe, zostawiając mi połowę łóżka. Także ja położyłem się na prawym boku, wpasowując się kolanami w jej przygięte kolana, a mój tors

lekko dociskał jej pleców obleczonych w jasnoniebieską koszulkę ściśle przylegającą do jej ciała.

- Tylko mi nie dokazuj, bo muszę wstać bardzo wcześnie - otworzyła oczy i powłóczyła wzrokiem w stronę wiszącego na ścianie zegara. - Dochodzi czwarta - oznajmiła, zamknęła oczy, ale zdobyła się jeszcze na to, abym mógł pocałować ją w policzek.

Szósta. Nieludzka godzina. Chociaż żona robi, co może, abym się nie obudził, ja przeciągam się, wstaję jak automat, moje stopy odnajdują na dywanie porzucone w nieładzie kapcie, toruję sobie drogę do kuchni wyciągniętymi przed siebie rękoma jak lunatyk; teraz zakręt w lewo, potem w prawo, słyszę syczący z gorąca czajnik, następnie ćwierkliwy odgłos dochodzący z wnętrza kuchenki mikrofalowej. Żona już ubrana, jeszcze tylko zostały detale, jakieś pociągnięcie pomadką ust, spiralką rzęs, spryskanie się jakimś zapachem, przejrzenie się przed lustrem, które zawsze znajdzie jakiś feler w uczesaniu albo w nierównym ułożeniu kołnierzyka od bluzki; możliwe też, że na szyi pozostał niewklepany dostatecznie krem albo nieroztarty puder na nosku. Ale teraz czas na odgrzewaną fasolkę, na kawę i bułeczkę leciutko pociągniętą masłem, na dwie kanapki z żółtym serem opatulonym liśćmi roszpunki, uzupełnione plasterkami ogórka i pomidora. Te dwie kanapki oczywiście pakuje do plastikowego pojemnika, który wsadza do niewielkiej torby, lokując go obok dwustupięćdziesięciogramowej plastikowej buteleczki z lekko gazowaną, mineralną wodą.

Już je, a ja stoję przy elektrycznym czajniku, uruchamiam go, za chwilę się wyłącza, a wtedy robię kawę, czarną gorzką kawę, przysiadam się do żony, mówię, że ma jeszcze czas, bo przecież butiku nigdy nie otwierała o siódmej, zawsze później, a ona mówi, że dzisiaj otworzy dla siebie wcześniej, bo wczoraj miała dostawę i chciałaby zmienić towar na wystawie, bo ludzie zwracają na to uwagę, czy jest coś nowego, czy nie, ale nawet jeśli nie ma świeżego towaru, to jeśli powiesi się w oknie jakiś ciuch, którego wcześniej tu nie było, to choćby z ciekawości zajrzą. Pyta mnie, czy

znów zanieś mnie do Anny, bo jej się wydaje, że Anny mieszkanie powoli staje się moim drugim domem, nie żeby miała coś przeciwko temu, bo przecież rozumie, że muszę tam od czasu do czasu wpadać, ale dobrze by było, abym się przysiadł do Agnieszki, znaczy się naszej córki, i sprawdził jej przygotowanie do matury; jeszcze wprowadzie trochę czasu zostało, ale lepiej dmuchać na zimne, a ona tak jakby sobie popuściła ostatnie półrocze, a z matematyki to nigdy orlicą nie była; wprowadzie tłumaczy się, że często odwiedza Jarka i ten Jarek bardzo pomaga jej w matematyce, ale czy oni tam tylko się uczą, kto to ich wie; w każdym bądź razie wraca od niego rozanielona. Ja oczywiście przyznaję jej rację, mówię, że powinienem się zorientować, jak tam jej idzie z przygotowaniami do matury, bo w pewnym sensie czuję się za naszą córkę odpowiedzialny i ze skruchą przyznaję, że poświęcam jej zbyt mało czasu, a wtedy... szur, szur...

- Nie zamartwiajcie się za bardzo nad moim losem.

Oczywiście Agnieszka wstała. I to w jakim momencie trafiła do kuchni. Ma słuch nietoperza i jak to ona robi, że budząc się o tak niehumanitarnej porze jest świeża jak mleko z porannego udoju. A ja jeszcze ziewam, naprężam kręgosłup, rozprostowuję nogi pod stołem i sącę drobnymi łyčzkami gorzką kawę, aby choć ona zmyła z moich powiek senność.

- Więc z tym Jarkiem to uczysz się matematyki? - musiałem zadać to pytanie, lepsze czy gorsze; przynajmniej w oczach żony wyjdę w tym momencie na troskliwego ojca.

- Tatko!

Ładna historia, moja własna córka pogroziła mi tym wykrzyknikiem.

- No wiesz, córeczko - zaczynam tajemniczo - jest czas zasiewu i czas zbioru.

- Oby tylko Agniesi nie pomyliło się coś z tym zasiewem - wtrąca żona, a potem odpierając spojrzenie córki dodaje: - No co, chociaż starsza, nie jestem przecież naiwna, aby sprowadzać niemal już dorosłe życie naszej córki jedynie do tego, co się powinno robić szkole.

- Bo też mogłabyś kiedyś pokazać nam tego Jarka. Przysięgam, że nic złego nie palnę - to mój wychowawczy głos przerwał tę chwilę milczenia, w której obie moje kobiety szykowały się do pojedynku na słowa.

- Jarek nie jest moim chłopakiem. No dobrze - poprawia Agnieszka
- jeszcze nie jest moim chłopakiem, a zresztą już go poznaliście.

- Rozumiem, że to ten młodzieniec, z którym wybrałaś się na studniówkę.

Potwierdza skinieniem głowy.

- Patrzcie to, poznaliśmy go - moja żona wydaje się być bardziej nieubłagana. - Masz na myśli tego biednego chłopca, który przez dziesięć minut wyczekiwał na korytarzu, aż poprawisz sobie loczki. I my z ojcem mieliśmy wobec tego wystarczająco dużo czasu na to, aby go poznać, aby z nim porozmawiać?

- Dziesięć minut to tyle akurat czasu, aby móc kogoś poznać, a z drugiej strony tyle samo minut to prawie nic dla kobiety, która chce porządnie wyglądać przed pójściem na imprezę - ripostuje filozoficznie Agnieszka.

Cały ja, myślę i uśmiecham się pod wąsem. Nie da zbić się z tropu. zaraz pewnie napomknie swojej mamie, że dzisiaj chciałaby jej złożyć wizytę w butik, aby wybrać sobie jakąś modną bluzeczkę, w której...

- Mamusiu, wpadłabym dzisiaj do ciebie po szkole. Słyszałam, jak mówiłaś o nowej dostawie. Nie znalazłabyś dla mnie jakiejś bluzeczki, w której mogłabym pójść na ustny egzamin z polskiego?

Było to piękne i radosne uwieńczenie sennego, przynajmniej dla mnie, kwietniowego poranka. Podczas gdy żona kończy fasolkę, moja córka puszcza do mnie oko. Czy może być coś piękniejszego?

Rozdział 9.

Zauważyłem, że od czasu kiedy zaangażowałem się do pracy jako kronikarz odległych i tych bliższych wspomnień, wypełniając wolę, czy też ulegając przemiłym prośbom profesora (jakże on tam się czuje po przeswędzono-przedrapanej nocy... muszę się dowiedzieć) czas wsadził na mój grzbiet chomąto, chlasnął batem, popuścił wodze, abym tylko przyspieszył z tą przypiętą mi do garbu furmanką z ładunkiem lat minionych. Nie byłem przyzwyczajony do takiego tempa pracy. W zaciszu swego pokoju - nazwijmy go gabinetem - wiodłem niemal pustelnicze życie zakonnego skryby, życie przerywane posiłkami, wtargnięciami żony, córki i syna (kiedy jeszcze nie zwariował i żył jak Pan Bóg przykazał z nami), życie pozbawione wprawdzie atrakcji, by nie powiedzieć nudne jak tysiąc któryś tam odcinek brazylijskiej telenoweli, ale za to takie, w którym skupiałem się nad tą jedną, jedyną pracą, jaką wykonywać umiałem - pisanem. Nadto, byłem pod stałą i specjalną ochroną domowników: żona pogodzona z tym, że zbyt wiele to ja w życiu robić nie potrafię, po latach gderań i napominań, przyjęła postawę rezygnacji, godząc się ze swoim podłym losem, jaki się wytworzył po kilku miodowych latach przykładowego pożycia małżeńskiego (były takie chwile); córka, to oczko w głowie ojca, początkowo z dumą obnosiła po naszym niewielkim przecież miasteczku tę szczególną profesję, jaką uprawiał jej tatko i chyba to jej zostało do dzisiaj, choć owa wczesnodziewczęca duma przemieniła się ostatnimi czasy w możliwość i chęć porozmawiania z ojcem na tematy, które znajdowały się w kręgu jej licealnych zainteresowań; syn z kolei, który od wieków był w domu gościem i chadzał a także biegał (o tym za chwilę) własnymi drogami, traktował moją pracę (czy pisanie książek to praca?) na równi z własnymi zainteresowaniami, jakie miewał i jakich ma wiele, i w związku z tym nie zawracał mi zbytnio głowy, doceniając moje całkiem ciekawe i nieszkodliwe, jak często powiadał, hobby.

Teraz z kolei, znacznie częściej niż dotychczas, opuszczałem domowe pielesze, już to spotykając się z Anną, profesorem czy byłym dyrektorem domu starców, ale też zasięgałem informacji o naszym miasteczku z innych źródeł oraz, co wymagało chyba największego wysiłku, próbowałem odkurzyć skrzynie, w których przechowywałem własne dzieciństwo i młodość, albowiem rzecz jaka powstawała (cały czas podkreślam, że była to inicjatywa profesora) miała się odnosić również do mojej osoby.

Nie chcę powiedzieć, że żałowałem swojej decyzji o włączeniu się do tej archeologicznej z punktu widzenia życia jednostki pracy, ale przyłgnęły do mnie wątpliwości, czy zdołam sprostać zadaniu i będę potrafił skleić w logiczną i sensowną całość rozproszone wątki i, czasami, nieprzystające do siebie opowieści, pozbawione najczęściej kronikarskiej chronologii.

Doszło nawet do tego, że zacząłem wertować archiwa naszej miejskiej biblioteki, aby dotrzeć do odległych roczników gazet i czasopism, do zdjęć, w których odbijało się jak w lustrze zaprzeszłe życie miasta, okolicznych wiosek i obywateli.

Od siódmej do jedenastej, no powiedzmy, do dwunastej, mam czas na dospanie nocy. Zatem śpię. Wyłączam receptory, a wcześniej gaz, na którym dogorywał niemal pozbawiony wody czajnik. Nie wyłączam komórki. Ta leży na szafce nocnej u wezgłowia.

Punkt dwunasta fragmencik sonaty Bacha wypowiada wojnę mojemu snowi. Pogodzony z porażką otwieram oczy i chwytam za telefon. Tomasz. Przesyła mi informacje spod Edynburga, że wczoraj ukończył półmaraton na miejscu czternastym, co i tak dobrze, bo po odliczeniu Afrykanów wypada, że jest trzeci wśród Europejczyków, a wczoraj zadzwonić nie mógł, gdyż świętował zwycięstwo w tymże biegu pewnej smukłej i młodej Australijki, która przez całkiem długi dystans dotrzymywała mu kroku, a więc miał trochę czasu, aby zapoznać się jej sięgającymi bioder nogami, do których zresztą z wielką przyjemnością powrócił w pubie, w którym oboje wypili po dwa piwa, lecz mam się tym nie przejmować, bo raz, że piwo słabiusieńkie, dwa, że korzystnie wpływa na układ moczowy, a trzy,

że panna z Australii ma oprócz nóg bardzo ładne oczy, których kolor doskonale harmonizuje z barwą trunku, jakim opijali jej sukces. Nadmieniał też, że przebiegnięcie półmaratonu było tylko przygrywką do przebiegnięcia maratonu w Paryżu, który to bieg obrał sobie za główny cel tegorocznych zmagania sportowych i dopiero we wrześniu weźmie udział w dwu, no może trzech „dziesiątkach”, aby poprawić sobie szybkość na ostatnich dwóch tysiącach metrów. Pozdrowia też córkę i mamę, lecz niech się nie obrażą, że pojawi się w domu nie wcześniej niż w listopadzie, bo musi wypełnić wszystkie zobowiązania, jakie ma wobec sponsorów, ale oczywiście jeszcze nie raz zadzwoni, więc trzymaj się tato i pisz bez błędów.

Odetchnąłem z ulgą, że na tych swoich zwariowanych wywczasach nie nabawił się kontuzji, o co szczególnie martwi się żona, ilekroć z sobą telefonicznie albo skajpowo rozmawiają, jeśli oczywiście syn nie na w tym czasie treningu siłowego, albo też nie ubiera dżinsowych wdzianek, dając się potem w nich fotografować na życzenie kluczowego sponsora.

Po rozmowie z synem czuję się zdeterminowany do tego, aby wreszcie zjeść porządne śniadanie, które akurat tego dnia oznacza połknięcie dwóch rozgotowanych jak zawsze serdelków w towarzystwie kiszonej kapusty, musztardy i majonezu.

I kiedy korciło mnie, aby po raz kolejny sięgnąć po komórkę, aby zadzwonić do Anny i zapytać o zdrowie profesora, to ona właśnie wystukuje mój numer.

- Panie Adamie, proszę się już nie martwić o profesora - mówi. - Widzę dzisiaj znaczną poprawę. Gorączka zniknęła bez śladu, chociaż profesor jest jeszcze osłabiony, ale najważniejsze, że odzyskuje apetyt. Aha, dzisiaj z rana odwiedził nas pan dyrektor i zostawił jakieś odręcznie zapisane kartki, na szczęście da się odczytać; profesorowi się udało, więc jeśli przechodził pan ospę w dzieciństwie, pan profesor zaprasza pana do nas na godzinę siedemnastą.

Powracam do pisania, mimo tego, że popołudnie to nie ten czas,

kiedy łatwo gromadzę myśli, którymi następnie zasypuję kolejne stronicie edytora tekstu, a jednak próbuję tym razem.

W niedzielne poranki siedzieliśmy przy ogrodowym stole na ławeczce. Dwie były te ławki. Zielone. Takiego samego koloru był stół o jednej nodze rozwidlającej się na trzy punkty podporu. A jaka ciekawa historia wiąże się z tym ogrodowym stołem. Najpierw dziadek przepisowo połączył podnóże z solidnym, sosnowym chyba blatem, następnie zanurzył na dwie noce całość w stawowej wodzie, po czym wydobył go z wodnej kipieli, na słońce wystawił, na dni parę (lato było, prażyło niemiłosiernie), dokręcił śruby, eliminując powstałe podczas kąpieli luzy i do zanurzył mebel w wodzie, tym razem na tylko jedną noc. Rankiem po raz kolejny wytaszczył stół ze stawu do całkowitego już wyschnięcia, ostatni raz śrubami na amen skręcił i na słońce z wiatrem wystawił, a kiedy drzewo ostatecznie wyschło, pomalował je na zielono, biorąc mnie z sobą do pomocy.

- Teraz się już nie spaczy powiedział z dumą po wykonanej robocie. Przy tym właśnie stole siedziałem z dziadek w ogrodzie w niedzielny poranek. Dziadek w fifce papierosa palił i czytał sobotnią gazetę. Ja z kolei popijałem przyniesione z domu kakao, przegryzając je drożdżowym, babcinym ciastem.

Słońce unosiło się coraz wyżej, wczesny poranek stawał się cieplejszy i coraz bardziej przyjazny. W tym dziadkowym królestwie trwała niedzielna, ogrodowa msza wypełniona śpiewem ptaków i brzęczeniem owadów. Dziadek, po przygaszeniu papierosa rozsiadł się wygodnie w swoim konfesjonale i z przymkniętymi oczami, z zamkniętymi ustami bezgłośnie szeptał słowa jemu tylko znanej modlitwy do Boga, jego własnego Boga, z którym się wadził ale go szanował, a najbardziej lubił się z nim spotykać tutaj, w zasypanym zielenią ogrodzie otoczonym pszczelimi domkami.

- A teraz zostań tutaj przez chwilę, a ja pójde do pszczół zobaczyć, czy czego im nie potrzeba i czy nie zrobiły dla nas miodzika. Lubisz miód, prawda?

- Lubię.

I dziadek poszedł do swych uli.

A takie ule, pszczoły w niedzielny poranek, gdy słońce praży, a wietrzyk ledwo co powiewa dla ochłody to sama przyjemność, jedna z tych największych, co to po świecie się włączą i z którymi warto się zaprzyjaźnić.

Nie powiem, abym był wiernym pszczół przyjacielem; jeżeli już to ich miodu. Ani szczególnego talentu do pracy przy ulach nie miałem, ani „wrodzić” się w dziadka nie potrafiłem, który z pszczołami był po imieniu, lecz owszem, trochę mu wokół jego pszczół pomagałem, jak choćby wtedy, gdy braliśmy z sobą worek, wózek i wyjeżdżaliśmy na skraj horyzontu, gdzie umierały wierzby.

Z ich przepastnych gardzieli wydobywaliśmy siekierką próchniczą miazgę, która potem umieszczona w paszczęce „podkurzaczki” i podpalona, wzniesła okazały dym służący otumanianiu robotnic i trutni, co jak najbardziej przydawało się przy podbieraniu miodu pszczołom. Po tej nieskomplikowanej robocie wracaliśmy do ogrodu, do uli; popychałem wózek (ten sam, który służył mi od urodzenia) załadowany workiem z wierzbowym próchnem, a potem... potem przy podbieraniu miodu dziadek w pszczelarską maskę ubrany wzniesł podkurzaczką dym, obezwładniając nim pszczoły, wyjmował z uli ramki, te zaś przenosił do wirówki. A kiedy już umieścił ramki w specjalnych klatkach maszynierii, ręczną korbą wprowadził w ruch to urządzenie w kształcie walca, a na gładkich, metalowych ściankach bębna pojawiały się smużki ciepłego jeszcze miodu, które spływały do umieszczonego poniżej zbiorniczka. Palce lizać, a takim miodem smarować pajdę wiejskiego chleba, do gorącego mleka dodać, gdy gardło w czerwieni, w końcu pojadać go sobie ot tak, łyżeczką ze słoiczka, kiedy nie widzą cię oczy babci czy rodziców, to jeszcze jedna przyjemność bez której obyć się nie mogłem.

A tego wierzbowego próchna, cośmy je przytaszczyli z łąk zostawało, więc można je było połączyć z glebą, przekopać ze słomą, z łądogami zasuszonych chwastów, z liśćmi, aby na tak przygotowanym podłożu uformować grządkę, na której babcia

posieje sałatę lub ogórki.

Czternasta. Późno. Zaczynam robić obiad, dzisiaj składający się tylko z jednego dania, ale za to takiego, które każdy lubi. Żadnych rewelacji - kotlety schabowe z ziemniakami, sałatką warzywną (żona przygotowała ją wczoraj, wystarczy ją wyjąć z lodówki) i kefirem (też w lodówce). Spieszę się z obieraniem ziemniaków, bo lada chwila Agnieszka może się pojawić. Ale nie, miała wpaść do butiku matki po tę bluzeczkę, więc chyba mam jeszcze trochę czasu. Ziemniaki będą na trzy osoby, również dla żony, której zaniosę obiadek w termosie, albo zrobi to Agnieszka, tak, chyba córka po szkole przyjdzie do domu, a później przy okazji dostarczenia tego obiadku wybierze sobie bluzeczkę. Aby nie tracić czasu, podgrzewam wodę w garnku, aż do wrzenia, a jest to czas, kiedy uporąłem się z ziemniakami; płuczę je pod strumieniem ciepłej wody i delikatnie upuszczam do gorącej wody; jeszcze tylko łyżeczka soli i Agnieszka może już przyjść.

Myślę już o kolejnej wizycie w domu profesora, ale może bardziej zastanawiam się, czy tym razem uda mi się zobaczyć obrazy Anny; targa mną ciekawość niewiadomego i tajemniczego, co w połączeniu z Anną, kobietą niesprawiającą wrażenia skrywającej cokolwiek ani przede mną, ani, tym bardziej, przed profesorem, wydaje mi się sprzeczne i ta niespójność podkreśla moje zainteresowanie.

Przetaczam swoje zainteresowania na Tomasza. Chłopak ten zawsze był niepokornym indywidualistą, wiedzącym, czego chce w życiu. Już w wieku czternastu lat zaplanował swoje dorosłe życie: zostanie lekkoatletą, skończy AWF i będzie trenerem. Powinienem był się cieszyć, chociaż miałem i mam w dalszym ciągu wątpliwości związane z opłacalnością zawodu, o jakim marzy, jednym słowem, czy potrafi z niego wyżyć, bo że będzie dobrym trenerem, tego akurat się nie obawiałem. U Tomasza ambicja zawsze była na pierwszym miejscu, a pokonywanie przeciwności losu to dla niego jak bieg na trzy tysiące metrów z przeszkodami; po prostu taki rów z wodą to jeden z ważnych elementów biegu, nie da się go ominąć, można na jego zarówno pokonywaniu zarówno zyskać jak i

stracić. Tomasz uważa, że zyska, odbijając się od tartanowego podłoża bieżni na tyle mocno, że nie zamoczy nawet korków, utrzyma tempo biegu, a może nawet je zwiększy, doganiając wyprzedzających, choć słabnących już zawodników, a finisz będzie jego. Zastanowiłem się nad tym, czy przypadkiem zainteresowanie syna biegami nie ma pewnego związku z tym, co opowiadałem mu o sobie. Otóż mając lat szesnaście zacząłem na własną rękę, bez wiedzy rodziców, bez wiedzy kogokolwiek, trenować długie dystanse, uwiedziony sukcesami Bronka Malinowskiego. Wyobrażałem sobie siebie na olimpijskich zawodach, walczącego do utraty sił o z przeciwnikami na dystansie dziesięciu kilometrów, walczącego z własnymi słabościami. Wyobrażałem sobie, ale przegrałem w przedbiegach. Może zabrzmiało to zabawnie, ale podczas treningu przełajowego, po przebiegnięciu dziesięciu - piętnastu kilometrów bolały mnie ręce, czułem silny ból ramion; ciążyły mi, pracowały zbyt energicznie, dostawałem skurczy, kładłem się spać z bólem nie nóg, nie stóp, a właśnie ramion. W pewnym momencie zarzuciłem bieganie. Tomasz odniósł się do moich słów profesjonalnie:

- Tato, aby dobrze i szybko biegać trzeba mieć należyte przygotowanie ogólne, a ty pewnie o tym zapomniałeś, sądząc, że nogi same cię poniosą. Przekonasz się o tym, że ja nie popełnię twoich błędów.

I zaczął biegać.

Ziemniaki dochodzą a ja zajmuję się kotletami; przygotowane wcześniej przez żonę, przyprawione pieprzem, solą i jakąś posypką do smażonej wieprzowiny, rozbijam tłuczkiem przed kapielą w jajku, stawiam patelnię na gazie, rozpuszczam smalec; wbiega Agnieszka i od samego progu:

- Boże, tatku, jaka jestem głodna i szczęśliwa!

Co za zestawienie, myślę sobie: być głodnym i szczęśliwym... czy z tego powodu, że jest się głodnym?

Rzuca torbę byle gdzie w kuchni, otwiera lodówkę, wyjmuje głęboki talerz z sałatką i kefir w plastikowych kubkach dla mnie i dla

siebie; stawia to na stole, potem płaskie talerze, sztucce; podchodzi do kuchni i wtyka nos pod pokrywkę z dochodzącymi ziemniakami, przesuwając swój perłkowy nasek w stronę rumieniacych się kotletów.

- Siadaj już tatku, resztę sama zrobię.

Po chwili całkiem spora sterta ziemniaków ładuje na moim talerzu, dużo mniejsza na jej; również kotlet, sałatka, obok kefir. Porcję ziemniaków dla żony przekłada do termosu, zamyka go i rzuca na patelnię ostatni kotlet.

- Że jesteś głodna, to rozumiem, bo jak zwykle nie wzięłaś z sobą drugiego śniadania do szkoły, ale że szczęśliwa...?

Córka przełyka pierwszy kęs schaboszczaka, wstaje, podchodzi do kuchni i odwraca kotlet.

- Tatku, dostałam czwórkę ze sprawdzianu z matematyki. Rozumiesz, co to znaczy dostać czwórkę u Archimedesza? Jestem niewyobrażalnie szczęśliwa. Jarek jest kochany.

Wysypała się tym ostatnim stwierdzeniem. Moja połowica, znaczy się, wiedziała, co mówi; z tym Jarkiem jest coś na rzeczy. Agnieszka rzuca na mnie kwaśne spojrzenie. Wstydzi się tego, że tak łatwo dała się ponieść emocjom; wygadała się przed ojcem, choć jeszcze nad ranem oświadczyła, że Jarek nie jest jej chłopakiem, jeszcze nie jest, ale może to ja błędnie w domysłach, bo przecież nie trzeba być chłopakiem dziewczyny, a można być mimo to kochanym.

Wydobyła z patelni kotlet i umieściła go w termosie.

- Tatku, ja tak z wami na odczepnego gadałam dzisiaj, ale tak naprawdę to jestem w nim zakochana; on też mnie kocha... ja wiem, że to za wcześnie, aby już dzisiaj decydować o naszej wspólnej przyszłości... i nie martw się, nie zrobię głupstwa... nie zrobimy, a będzie ciężko, przecież wiesz dlaczego, bo sam byłeś młody, Jezu, jesteś jeszcze młody... powiedz mi, czy to normalne, że ja tak z tobą rozmawiam o t y c h sprawach, a nie najpierw z mamą?

- Kochanie, cieszę się, że masz do mnie zaufanie, a matce pewnie też powiesz o swoim uczuciu; matka może nieco inaczej podejdzie

do twoich słów i zrozumie cię inaczej, jak kobieta kobietę, bo ja, widzisz córciu, ja w tych sprawach jestem cokolwiek przestarzały i gdybyś oczekiwała ode mnie pomocy w kwestiach uczuciowych, to nie wiem, jak miałbym się do tego zabrać, a mama to co innego...

- Ty tatku, mając takie doświadczenie w komponowaniu opowieści, nie wiedziałbyś w jaki sposób pomóc swojej córce?

- A żebyś wiedziała. To nie znaczy, że nie chciałbym ci pomóc, a co do pisania to powiem ci, że moje pisanie a rzeczywistość to dwie różne sprawy: w nim czuję się nawet zręcznie; w końcu sam wymyślam fabułę, natomiast życie pisze własny, o wiele bardziej skomplikowany scenariusz.

Spojrzała na mnie przymilnie i tak jakoś ciepło zrobiło mi się od tego spojrzenia.

- Obiecuję ci tatku, że zrobię wszystko, abyś nie musiał spieszyć mi z pomocą - powiedziała. - Postaram się być taka jak Tomasz.

- Przede wszystkim bądź sobą.

Zjedliśmy z apetytem.

Agnieszka zaproponowała mi, abyśmy teraz oboje udali się z obiadem do butiku matki.

- Stanowczo zbyt mało czasu poświęcamy na wspólne przechadzki - powiedziała, a ja niemal w tej samej chwili pomyślałem o tym, że mam bardzo mądrą córkę.

Chodziło się z dziadkiem, chodziło...

Brało się brunatny jutowy worek pod pachę i szło się, szło. Worek jutowy w tej opowieści pełni ważną rolę, podobnie zresztą jak ten mój spacerowy wózek.

Szliśmy z dziadkiem na plac buraczany przy cukrowni, gdzie usypywano hałdy surowca do produkcji cukru, tudzież wsypywano go wprost z furmanek i traktorowych przyczep do spławów, skąd potraktowane silnym strumieniem wody przebywały podziemną drogę do zakładu. Nie łowiliśmy jednak buraków lecz okrągłe, zielone, żółtawe bądź też fioletowe korzenie brukwi, którą w procencie liczącym się w promilach zdarzało się wypatrzyć w kilkumetrowej wysokości stertach pośród białych, cukrowych

buraków. Dziadek trzymał króliki, które surową brukwią tak się zajadały, że aż trzęsły uszami nie mniej, niż gdyby podawać im poprzez oczka drucianej siatki marchewki. Dodawał brukwi również do karmy przeznaczonej dla kur, gęsi, kaczek i indyków. A przecież z tą brukwią to było tak, że żywiła ludzi i to zdrowo, jak opowiadał dziadek, podczas okupacji, a szczególnie ta oczyszczająca organizm zupa brukwiowa.

Potrawy z brukwi ani teraz, ani wtedy, przed laty, nie były popularne. Być może dlatego, że nazbyt kojarzyły się z okresem powszechnej biedy, jaką przyniosła z sobą Wielka Wojna. A szkoda, bo to warzywo ma właściwości wybitnie pozbawiające organizm złogów i nieczystości, a mówi się też, że potrafi zwalczać raka we wczesnym jego stadium.

Dziadek nauczył mnie wypatrywać tych elipsoidalnych kul w potężnej buraczanej masie. A kiedy taka kula znajdowała się u szczytu hałdy, trafiałem ją rzucając w nią burakiem. Brukiew, która w procesie produkcyjnym cukru była zbędna, wkładaliśmy do worka, a ten wędrował na wózek.

Wracaliśmy do domu uszczęśliwieni, wiedząc, że świat zwierzęcy mojego dziadka i babki będzie miał czym, przynajmniej na tydzień, wypełnić swe żołądki.

Rozdział 10.

Przekonałem się, że rzeczywiście stan zdrowia profesora przedstawia się znacznie lepiej niż wtedy, gdy byłem u niego ostatnim razem i niestety nie mogłem z nim porozmawiać. Żartowałem przy tym z siebie, z tej nieoczekiwanej przypadłości, jaka stała się udziałem jego organizmu, który najwidoczniej nie zapoznał się był z wietrzną ospą w okresie dzieciństwa i nie zdołał uodpornić na tę wielce swędzącą chorobę.

Łacinnik jednak jeszcze nie pozwalał sobie na przebywanie poza łóżkiem, czego pilnowała Anna, bo Bóg jedyny wie, co może wyniknąć z tej choroby, jeśli się jej nie przeleży pokornie w łóżeczku i nie zezwoli na ostateczne opuszczenie organizmu. Z tego też powodu nie zajmowałem mu swoją osobą zbyt wiele czasu, aby rekonwalescent odpoczął należycie i mógł skupić się na odkrywanych ponownie „Dialogami” Platona.

Anna z niejakim niepokojem w oczach przeprosiła mnie, że i tym razem będzie zmuszona odłożyć prezentację swoich obrazów, bo skoncentrowana na chorobie profesora a później, gdy gorączka go opuściła, próbowała zaskoczyć przyjaciela jakimś szczególnie wypracowanym kulinarnym daniem, aby zjadł je z apetytem i powracał rychlej do zdrowia, nabierając sił, ot choćby do czytania w oryginale Platona albo Arystotelesa.

Nie byłem zaskoczony tym, że po raz kolejny zostałem pozbawiony obejrzenia prac Anny; moja ciekawość została w związku z tym niezaspokojona, a tajemnica spowodowana ustawicznym odwlekaniem decyzji o ukazaniu mi swojej malarskiej twórczości pozostała nierozwiązana.

- A oto, co pozostawił dla pana pan dyrektor - powiedziała, kierując moją uwagę w stronę naszego wspólnego dzieła. Mnie się spodobało. Niedzielne poranki różnią się znacznie od tych wewnątrztygodniowych. Różnią się przede wszystkim natężeniem hałasu, są bardziej senne i zaczynają się nie w czasie trwania krwawiącego świtu, lecz znacznie później, gdy intensywna żółta barwa słonecznych promieni rozświetla pomieszczenie snu w sposób niemal doskonały. Jednocześnie ów ciepły, żółty kolor sprzyja lenistwu i wywołuje wyrzuty sumienia, bo jakże można godzić się na późne wstawanie utraciwszy dziewczą rześkość brzasku.

Większość moich obecnych niedziel otwiera okno około ósmej, co dla notorycznych śpiochów wydaje się pewnie porą niebezpiecznie wczesną. Robię śniadanie, jedząc je czytam gazetę albo kilka stron książki zostawionej nocą u wezgłowia, spędzam pół godziny w łazience zanurzony w przesadnie ciepłej wodzie, golę się

doskonaląc gładkość podbródka i policzków i wykonuję jeszcze kilka typowych, higienicznych procedur kończących się wcieraniem w naskórek pachnącej konwalia lub bzem kwiatowej wody. Potem dojadam kanapkę, wypijam mocną kawę i wychodzę do pracy. W "Jesieni Życia" to moje stałe pojawianie się przed południem nazywane bywa obchodem, co w zasadzie odpowiada znaczeniu tego słowa. Rzeczywiście w niedziele staram się więcej niż zwykle czasu poświęcać na spotkania nie tyle z personelem, co z podopiecznymi, z którymi prowadzę często długie, a w każdym bądź razie interesujące pogawędki. Rozmawiam ze wszystkimi mieszkańcami pensjonatu, towarzysząc im w spacerach po parku i w rzeczy samej nie chodzi mi o to, aby ta moja pojawiająca się najczęściej w dni świąteczne troskliwość prowadziła do tego, abym był postrzegany jako ten dobry, wyrozumiały i obligatoryjnie pomocny dyrektor, który korzysta z każdej okazji, aby przypodobać się podopiecznym i stara się zabiegać u nich o swą popularność. Wydaje mi się, że te rozmowy i spotkania niedzielne w znaczący sposób przede wszystkim mnie są potrzebne i oczyszczam swoje sumienie z niepewności, czy aby to, co robię, nadaje mojemu życiu sens. Owszem, nie ukrywam, że te moje systematyczne obecności w pensjonacie w niedzielne przed- i popołudnia niedzielne mają swoje źródła w egoistycznej potrzebie podbudowania własnej wartości. Rzeczywiście czuję się znacznie lepiej, gdy to ja sam wybieram drogę i sposób wchodzenia w bliższe stosunki z ludźmi, którzy, nawiasem mówiąc, są ode mnie zależni. Zawsze mnie mierzził bezosobowy, nadęty i sprawowany głównie znad biurka nadzór nad losem ludzi, wertowanie papierzyk, w których tak naprawdę nie widać człowieka, a zamiast niego jest sprowadzone do formalnego schematu jego imię, nazwisko, a także przypisany mu numer referencyjny, no i oczywiście rubryka, w której zapisywana jest wysokość emerytury lub renty, jaka występuje tuż obok numeru ewidencyjnego i nazwiska. Zdecydowanie bardziej wolę ryzyko bezpośrednich kontaktów, choćby wypełniały się one często słowami nie zawsze odpowiadającymi prawdzie, a nawet krążyły jak stada

spłoszonych gawronów niepewnych czy dane im będzie po raz wtóry zasiąść dumnie na najwyższych ramionach kasztanowców, z których je odegnano. Mniemam, że owe niedzielne spotkania, spacer, rozmowy z biegiem czasu zaczęły być potrzebne również moim podopiecznym. Możliwe, że chęć rozmowy z drugim człowiekiem rośnie wraz ze świadomością, że jest się słuchanym i akceptowanym przez drugiego rozmówcę i po pewnym czasie owa nieodparta chęć przeistacza się w narkotyczną potrzebę towarzystwa.

W gruncie rzeczy nasze niedzielne rozmowy tematycznie odnosiły się do spraw bezlitośnie błahych, niepoważnych, typowych, a tak bardzo pozbawionych głębszej refleksji, że paradoksalnie ich bezrefleksyjność stanowiła wartość sama w sobie. Kiedy ktoś z pensjonariuszy ustawicznie napomykał o pogodzie, o klimacie, który się zmienił w porównaniu z tym, jaki dominował na tej szerokości geograficznej przed trzydziestu jeszcze laty miałem wrażenie, że rozmawiam z człowiekiem o niezwyklej dociekliwości i analitycznym umyśle, którego przepowiedniom na kolejne trzydzieści lat można zaufać. Kiedy jeden z moich interlokutorów dyskutował ze mną na temat lekkiej atletyki wykazując niemałą znajomość nazwisk i wyników, musiałem przyznać, że uświadamiał mi przy okazji jakże bolesną prawdę, że mamy obecnie do czynienia ze sportem jako widowiskiem opartym przede wszystkim na sile pieniądza, natomiast idea szlachetnej rywalizacji odpłynęła wraz z powiewem nowobogackiego wiatru reklam, mediów i presji rekordów za wszelką cenę. Doszedłem do wniosku, że w wielu tematach rozmów byłem niepoprawnym laikiem, by nie powiedzieć ostrzej - ignorantem, co niejako powodowało, że w jakimś stopniu próbowałem przygotowywać się merytorycznie do kolejnej rozmowy.

Najbardziej nieustrudzonym moim rozmówcą był Marczak. Ten siedemdziesięcioparoletni, o żywym usposobieniu, ledwie siwiejący brunet, traktował rozmowy ze mną jako swoje misje, które miały służyć oczyszczeniu nas obojga. Marczak był komunistą. Proszę o dosłowne potraktowanie tego słowa. To, że ktoś należał do

komunistycznej partii niekoniecznie musi oznaczać, że był komunistą z krwi i kości. W jego przypadku bycie "czerwonym" zapisane było w każdym słowie, jakie upuścił podczas rozmowy ze mną. Marczak przeszedł wszelkie szczeble w hierarchii zadań, wyznaczonych przez partię - od odgruzowującego stolicę z wojennej pożogi wyrobnika, poprzez kierownika zakładu komunikacji miejskiej, działacza powiatowego szczebla, potem wojewódzkiego i wreszcie przewodniczącego rady miejskiej, by wreszcie zanurzyć się w papierzyskach archiwum, zejść bezboleśnie na emeryturę bez fanfar, cicho i spokojnie, niezauważenie jak ginąca w płomieniu świecy ćma. Marczak nie miał rodziny, nie miał żony i dzieci, co stawiało go w tym dobrym położeniu, że swój umysł mógł bez niepokoju o los najbliższych faszerować ideą. Idea nie pozwalała mu mieć rodzinnego szczęścia, zakazywała mu mieć coś więcej niż mieszkano na poddaszu, bez wygód, malutkie i nadgryzione wilgocią. Przyjaciele wielokroć odżegnywali go od czci i wiary za ten jego nieuzasadniony i pożałowania godny ascetyzm połączony ze szorstkością wobec samego siebie. Czy było rozsądnym odmawianie sobie prawa do odrobiny choćby luksusu skoro okazji ku zmianie na lepsze tej siermiężnej egzystencji nie brakowało? Jakże śmiesznie wygląda partyjny dygnitarz nieposiadający niczego prócz zakurzonego pokoiku z ciemną kuchnią i przedpokojem wąskim jak rozstaw wąskotorowych wagonów. Przecież szacunek do człowieka rośnie wprost proporcjonalnie do jego zasobów własnych i możliwości awansu. Te jego zasoby, to znaczy to, czego dorobił się w życiu, nie przedstawiało większej wartości, o ile za wartość w życiu uznamy dobra materialne. Kolejnym szczytem głupoty Marczaka, o czym mówiło się w kuluarach urzędów i instytucji, w których załatwiał partyjne, ale nie tylko partyjne sprawy było nieposiadanie w swoim otoczeniu osób bliskich, rodziny, żony, o czym wspomniałem wyżej i bliskich, serdecznych przyjaciół. Ta sprawa braku żony dyskutowana była w gronie przyjaźnie nastawionych do niego towarzyszy, którzy z „dobrego serca” radzili mu, aby się wreszcie

ustatkował, bo nie żyje już w czasie rewolucyjnych przemian, które gardzą prywatnym życiem nie mniej niż wrogiem klasowym. A Marczak celowo i z premedytacją decydował się na ten celibat tłumacząc, że ma zbyt dużo obowiązków na głowie i zbyt wiele czasu poświęca innym, aby mógł z całą odpowiedzialnością wprowadzić w swoje życie kobietę, partnerkę i, kto wie, czy nie dawczynię nowego życia, i dzielić z nią niewygody prymitywnej codzienności, do jakiej się przyzwyczał. Niemal heroicznie brzmiały swego czasu jego słowa: „zbyt szanuję sobie kobietę, zbyt cenię sobie miłość i instytucję małżeństwa, aby narażać mą wybrankę na niepewny los, niedostatek i ciągłe nieobecności w domu.”. Taki to już był ten obecnie stary, spracowany, choć wciąż rześki i intelektualnie sprawny starszy człowiek. Historię jego życia poznawałem stopniowo w rozmowach jakimi mnie raczył, choć owa niezwykłość charakteru najstarszego pensjonariusza „Jesieni życia” znana mi była wcześniej z opowieści wielu postronnych osób, którzy albo znali go osobiście, albo też słyszeli o nim od innych, od władnej rodziny, znajomych lub wręcz osób, które przypadkiem znalazły się w zasięgu, że tak powiem, bezpośredniego oddziaływania działacza partyjnego. Wśród wszystkich tych opowieści dominuje jedna cecha Marczaka. Otóż jakiegokolwiek stanowisko by nie zajmował, jakiegokolwiek misji narzucanej przez aparat partyjny by się nie podejmował, zawsze pomagał ludziom, nie zostawiając nikogo samemu z ważną lub pomniejszą sprawą. Nie potrafił nie załatwić pozytywnie jakiejś sprawy, a nawet jeżeli zlecał takową podwładnemu, pilnował jej dalszych losów, aż do pomyślnego zakończenia. Wielu towarzyszy, którym zawracał głowę w związku z kolejnym „przypadkiem” kręciło nosem i próbowało wykręcić się sianem, tym nie mniej wiedziano, że jeśli nie uczynią wszystkiego, co możliwe w danej materii, nie uciekną przed telefonami i natrętnymi wizytami zlecającego lub tylko proszącego o wykonanie konkretnego zadania opiekuna, stąd rzadko kiedy odmawiano mu pomocy.

Kolejną słabością i jednocześnie rozrywką Marczaka były

szachy. Grał od najmłodszych lat z niezmienną pasją i chęcią wygrywania. Zawsze miał stałych partnerów i z reguły ogrywał ich niemiłosiernie, choć miał też na swoim koncie kilka nazwisk, które kojarzyły mu się z porażkami. Najbardziej ubolewał nad tym, że z kilkoma rywalami, z którymi przegrał, spotkał się przy szachownicy tylko raz i bezpowrotnie stracił okazję do rewanżu z nimi.

W „Jesieni życia” byłem jednym z jego partnerów do gry. Pojedynki odbywaliśmy regularnie w sobotnie popołudnia, bądź też właśnie w niedziele. Czasami toczyliśmy je na otwartym powietrzu, w pensjonackim parku, przy stole, którego blat w całości pokryty był białą-czarną szachownicą. Innymi razy grywałem z nim w jego pokoju, w ciszy przerywanej rozmowami, które dotyczyły i przeszłości i spraw dzisiejszych. Wtedy właśnie poznawałem go najbardziej.

Tej niedzieli nie byliśmy umówieni na partyjkę, co oczywiście nie przeszkodziło nam w zawiązaniu rozmowy właśnie przy szachowym stoliku w parku.

- Jak minęła nocka? - zadałem banalne pytanie na powitanie.

- Nie gorzej niż poprzednie, a to bardzo ważne w moim wieku - odparł natychmiast z właściwą sobie filozofią.

- Siądziemy?

- A pewnie.... pan dyrektor zmęczony.

Rozmawiając ze mną zawsze używał „panie dyrektorze”, co początkowo raziło mnie bardzo, właśnie z jego ust, ale zdażyłem przywyknąć do takiego tytułowania uświadomiwszy sobie, że Marczak po prostu nie potrafi w inny sposób zwracać się do mnie.

- Co tam u pana słychać? - zagadnął uprzedzając moje ewentualne pytania?

- Jakoś tam się układa - odparłem banalnie. - Nauczyłem się wiązać koniec z końcem. Ale lipiec to miesiąc piękny wprawdzie, rozleniwiający, więc nie oczekuję po nim niczego szczególnego.

- A ja myślę, że znowu ma pan jakieś plany, poza tym, że w sierpniu jedziemy na tę wycieczkę... prawda, że jedziemy?

- Zawsze mam jakieś plany. Zresztą jak słucham pańskich

opowieści, jak słyszę o tym, co robił pan dla ludzi, to nawet byłoby mi głupio, gdybym nie miał jakichś zamierzeń.

- Przesada... ja należę do zamierzchłej epoki. Inne były czasy, inne możliwości.

- Ale działał pan sprawnie.

- A co innego miałem do roboty? Cały czas pracowałem. Ale widzę, że i pan ma tę pasję. Tak, tak, panie dyrektorze, prowadzenie tego pensjonatu dla ludzi starych, schorowanych i osieroconych przez los i rodzinę to pana pasja. Nie chcę panu zbytnio kadzić, ale nadaje się pan na te stanowisko, oj nadaje. No weźmy na ten przykład ostatni pana pomysł...

- Nie rozumiem?

- Ta młodziutka panienka. Skąd wziął pan tego aniołka?

- Natalia? To niezupełnie jest tak, jak pan myśli. Ona przyszła sama, powiedziała, że chce pracować, potem studia, rozumie pan, chce się uniezależnić finansowo, a ja... no cóż, na razie pracuje jako wolontariuszka, więc właściwie za wikt i pokój, gdy spędza tutaj noc. W zeszłym miesiącu dostała ode mnie trochę grosza z funduszu nagród

- To znaczy niewiele ma z tego.

- Satysfakcję. Taką samą jak pan miał ze swojej pracy. Przecież to właśnie pan przez całe swoje życie był takim wolontariuszem. Nie powinien więc pan się dziwić...

- Nie dziwię się, ale czasy się zmieniły i powinien pan, dyrektorze spróbować uzyskać dla niej etat.

- Myśli pan, że nie próbuję? Póki co odmawiają.

- To trzeba by podejść do tej sprawy z innej strony. Niech tylko powie pan, że się zgadza, a ja zbiorę podpisy wszystkich mieszkańców i tej Natalii, i panu oczywiście pomogę.

W oczach Marcza zapłonęło światło dawnych czasów.

- A wie pan, że ja o tym myślałem, ale przecież mnie nie wypada namawiać ludzi, prawda?

- Widzę, panie dyrektorze, że pasowałby pan też do tych moich czasów, kiedy, panie, walczyło się o ideały mało myśląc o sobie. Pan

w dodatku też sam na tym świecie tak jak ja, ale cała nadzieja i pociecha w tym, że pan młodszy.

- No cóż, nie poszczęściło się.

- Tylko panu powiem tacy ludzie jak my... takich jak my... opluwa się przy lada okazji... stajemy się niepotrzebni, bo albo zmieniają się czasy, a z nimi ludzie, albo naturalna wymiana pokoleń uzurpuje sobie prawo do pogardzania tymi, którzy przed nami...

Marczak, człowiek silnego charakteru, miewał chwile słabości, choć dzielił się nimi oszczędnie.

- Wie pan, panie dyrektorze, może w stosunku do mojego pokolenia to ludzie mają rację, że tak srogo nas oceniają, bo wielu z towarzyszy z moich lat to podli ludzie, niedouczeni i kompletnie oderwani od rzeczywistości - Marczak niepostrzeżenie wjechał na tory optymizmu. - A przed panem, co by tu nie mówić, otwiera się szersza perspektywa działania: wolność, swobodniejsze decyzje, a możliwości takie, o jakich ja nie śmiałem nawet marzyć. - zastanowił się. Jego wysuszona pociągła twarz w jednej chwili pojaśniała. Wydawało się, że nagle rozleje przede mną kolejną wizję powszechnej szczęśliwości, w który to obraz, prawdę mówiąc, nigdy nie przestał wierzyć. - Ale, panie dyrektorze, trzeba uważać, bo moje zdanie jest takie, że niezależnie w jakich czasach żyjemy, to dla ludzi bezwzględnych i podłych każda epoka jest właściwa, aby pokazać, co to nie oni znaczą. Będą pana podgryzać, podstawiać nogi i zanim się pan spostrzeże, dadzą panu takiego kopa, że się pan nie opamięta. Ale w sprawie tej Natalii to ja ze wszystkimi lokatorami porozmawiam, niech pan będzie spokojny.

I tak rozstałem się z Marczakiem na głównej alei parku. Pewnie wrócił do swoich książek, do gazet, a może nawet przemyśliwał już nad tekstem petycji do organu prowadzącego, który już nazajutrz pozostawi na moim biurku, abym przekazał pismo z podpisami wszystkich lokatorów pensjonatu dalej.

W tej chwili na dziedzińcu przed budynkiem pojawiać się zaczęli jego mieszkańcy, którzy gromadnie opuszczali właśnie jadalnię po późnym niedzielnym śniadaniu (niedziele miały swój własny zegar

czasu, który poza porą obiadową raz spieszył się, a innym razem spowalniał tempo życia). Tłumek postaci starych, przygarbionych, kroczących niedołąźnie i gaworzących z sobą cichym, sepleniącym dialektem staruszków zbliżał się powoli do alejki, przy której siedziałem z Marczakiem. Wiedziałem, że Marczak, który przed chwilą rozstał się ze mną, robi tak jak zrobił, to znaczy przerwie rozmowę, wstanie i ulotni się pod byle pretekstem. Wprawdzie nie można go było nazwać odludkiem, lecz ilekroć ktokolwiek zbliżał się do nas, rozmawiających w parkowej alei, zawsze odchodził, jakby nie chciał towarzystwa innych osób i mijały długie minuty zanim zdołał powrócić do stanu sprzed spotkania się ze mną. Ale nie oznaczało to, że unika ludzi, przeciwnie, dobrze mu było z nimi, im z nim również, szanowano go, ceniono za delikatność w codziennych kontaktach, ale też za stanowczość w przypadku oceny rzeczywistości, która wymagała radykalnych posunięć.

Wyszedłem naprzeciw staruszkom wstępującym na główną alejkę ośrodkowego parku. Dochodziła dziesiąta i zwykle o tej porze dnia, kiedy pozwalała na to pogoda, pensjonariusze przechadzali się po parku. Zwykle też o tej porze podchodziłem do nich wszczynając rozmowę, bądź też odpowiadając na powitania. Dwie siwiutkie kobiety, najstarsze po Marczaku mieszkanki pensjonatu, bardzo żywe i podobne bardzo w zachowaniu i sposobie wypowiadania się szły w pierwszym szeregu. Patrząc w ich stronę z daleka pozdrowiłem je uśmiechając się najszczerzej jak tylko mogłem. Wiedziałem, że lubią to, lubią zainteresowanie sobą, choć niekoniecznie interesuje ich dłuższa rozmowa, na nią decydowały się rozmawiając z sobą; wymieniały wtedy ploteczki, najczęściej niegroźne, lecz żyć bez nich nie mogły. Podążamy ku sobie. Znów ławeczka. Przysiadamy.

- Jak tam zdrówko, drogie panie? - zapytałem głośno, jeszcze wtedy, gdy zbliżyliśmy się do siebie na odległość wyciągniętej ręki.
- Chwalić Boga, jest jeszcze - odparła Helena.
- Spać nie można. Helena boi się przeciągów, więc tylko leciutko uchylone mieliśmy okno. - dodała Weronika.

- Śniadanko smakowało?
- A jakże, jak zwykle, świetne - Helena zdawała się być w znacznie lepszej kondycji. - Panie dyrektorze, dużo tego, tyle kanapek, nie możemy przejeść.
- Pani zdaje się nie jada zupy mlecznej i dlatego trzeba zjeść trochę więcej kanapek.
- Wie pan jak to jest z mlekiem w naszym wieku. Nie wszyscy mogą sobie na nie pozwolić - odparła.
- A ja tam lubię zupy mleczne - wtrąciła Weronika.
- Ja mam uczulenie na mleko, ale poza tym wszystko mogę jeść.
- To bardzo dobrze. Bardzo ładnie panie wyglądają - pochwaliłem obie, choć w rzeczywistości twarz Weroniki była dzisiaj bardziej sucha i blada.
- Pan tak zawsze ... ej, my stare, tyle co się ogarniemy, uczeszemy - stwierdziła Weronika.
- Panie dyrektorze, ta nowa dziewczyna to zostanie z nami? - zapytała nagle Helena.
- No cóż, mam nadzieję, że tak. Mają panie jakieś uwagi? - zaniepokoiłem się.
- Skądże. Ta panienka, no jakże jej tam Natalia, powiedziała, że jutro przytnie mi włosy ... powiedziała, że będę wyglądać w nich tak, że jak nic, na tańce mogę pójść. Umie ona strzyc?
- Tego nie wiem ale skoro tak mówi, to pewnie umie.
- To dobra dziewczyna, panie dyrektorze, niech jej pan nigdzie nie puszcza - wtrąciła Weronika.
- Kiedy ja jej nie zamierzam nigdzie puszczać.
- To skarb, nie dziewczyna - przemówiła Helena. - We wszystkim nam pomoże, łóżko ścieli parę razy na dzień, a i gimnastykować się każe, tak na nasz wiek, delikatnie, a jaka uczynna, o co poprosisz, to ci poda, przyniesie, a przed snem to i poczyta jakąś książkę
- A ona, ta Natalia, to mówią, że za darmo w naszym domu pracuje - obruszyła się Weronika. - Tak być dalej nie może. Pan Marczak to mi mówił, że podobno panu zabraniają ją zatrudnić.
- Jakże to tak, toż to pan dyrektor, a mu zabraniają? - Helena

zdawała się być oburzona.

- A tak też bywa. To nie jest mój własny pensjonat i nie mogę decydować o wszystkim.

- A ja ci mówię, moja droga - rzekła Weronika stanowczym głosem, że nasz pan dyrektor to sobie da radę z tą władzą, która mu zakazuje, a jeśli nie to już pan Marczak coś wymyśli. Uśmiechnąłem się, ale nie zdradziłem naszej z Marczakiem rozmowy.

W tej samej chwili jakieś zamieszanie zapanowało wśród moich rozmówczyń. Wyglądało na to że i chcą i nie chcą podzielić się ze mną jakąś informacją, po czym Helena, w tym przypadku odważniejsza, zabrała głos.

- No to już ja powiem, niech będzie. Niech pan dyrektor się dowie, co z Weroniką zrobiliśmy. Weronika i ja wpadłyśmy na pomysł, to było jeszcze w czerwcu, że tej Natalii to my same za tę jej opiekę zapłacimy ze swojego kieszonkowego. Broń Boże, abyśmy komu innemu o tym mówiły, nawet Marczakowi. My do niej, że tak z dobrego serca, bo widzimy jak się stara, aż do nocy siedzi przy nas i nie tylko przy nas, a grosza nie dostaje, chyba że od pana dyrektora takie niewielkie kieszonkowe, a ona nie i nie, że jest tu na wolontariacie i wiele jej do życia nie trzeba, to ja mówię do niej, że nie powinna tak dla nas, starych, rezygnować z przyjemności życia, a ona, że za nic pieniędzy od nas nie weźmie, bo to niby nie w porządku byłoby przed panem. To następnego dnia zmówiliśmy się obie, że poprosimy Natalię, aby nam kupiła dwie bombonierki, bo przecież u nas w pensjonacie sklepu nie ma, a wychodzimy na miasto tak rzadko. Ja z kolei dodałam, że przydałyby się i mnie i Weronice jakieś rajstopy, ale nie takie dla starych, bo w końcu choćby na mszy do kościoła, chciałybyśmy się zaprezentować młodziej, więc poprosiłam ją, żeby nam wybrała po parze takich bardziej nowoczesnych, w taką kratkę, jedną parę cielistą dla mnie, drugą dla Weroniki czarne, bo w tym kolorze jej do twarzy. Panienka tylko się roześmiała i pogłaskała po głowach. A jakże, kupi, kupi, abyśmy były zadowolone... no, teraz ty mów.

Dalej ciągnęła Weronika.

- No i kiedy nazajutrz zrobiła dla nas te zakupy, to ja do niej, że się obrażę, bardzo się obrażę, a Helena to wie najlepiej, jak ja się potrafię obrazić, gdy ona tych rajstop i tych bombonierek od nas nie przyjmie. Namarudziła, namarudziła, a w końcu nawet się popłakała, ale przyjęła. Dlatego, panie dyrektorze, niech pan się choć w naszym imieniu ujmie za tą dziewczyną, dobrze?

- W końcu to spora część naszych emerytur idzie na nasze utrzymanie, więc prawa swoje mamy - podkreśliła stanowczo Helena i przez chwilę spojrzała na mnie przestraszonym głosem, miarkując, że może za ostro o tych emeryturach się wyraziła, choć przecież w całości miała rację i w głębi duszy przyznawałem jej całkowitą słusność, a swoją drogą ten fortel na jaki wpadły obie starsze panie względem Natalii serdecznie mnie rozbawił.

Pożegnaliśmy się. Kobiety umknęły nieśpiesznie do miejsca, w którym tworzył się narastający krąg niedzielnych spacerowiczów „Jesieni życia”.

Rozdział 11.

Kwietniowe dni, słoneczne tego roku, chociaż nocami jeszcze z niewielkimi przymrozkami miały spokojnie i leniwie. Kilka przedpołudni spędziłem w bibliotecznym archiwum i czytelni, wynotowując sobie wszystkie możliwe w danym ograniczeniu czasowym informacje dotyczące miasteczka i okolic, z ostatnich trzydziestu - czterdziestu lat, jakie pojawiały się dosyć systematycznie w lokalnej prasie. Oczywiście nie wszystko mnie interesowało, jak i też nie dotarłem jeszcze do każdego z roczników „Kalejdoskopu”, a zatem trudno powiedzieć, abym był do końca przygotowany do tej specyficznej podróży w czasie, w jaką się wybrałem. Przyznam szczerze, że porządkując i poddając koniecznej korekcie materiały dyrektora „Jesieni życia”, słuchając wspomnień Anny i profesora, nabierałem coraz większej ochoty na

pisanie, pomimo tego, że czekało mnie jeszcze sporo pracy, zwłaszcza że miałem nieodpartą chęć poszerzenia grona opowiadaczy o kilka przynajmniej osób, które albo znałem, albo też o istnieniu których dowiadywałem się od innych lub też z tekstów artykułów pomieszczonych właśnie w regionalnej prasie. Odkrywając nowe - stare historie zastanawiałem się, w jaki sposób włączyć część z nich do opowieści; miałem na to pozwolenie naszego mentora i pomysłodawcy, profesora, który nie raz i nie dwa przypominał mi o tym, że aby przedstawić prawdę o czasach minionych, trzeba spojrzenia na przeszłość z wszystkich możliwych perspektyw i z tego powodu zasadnym jest, abym odszukał ludzi, dla których opowieść o naszym miasteczku będzie tyleż ciekawa, co potrzebna, także dla przyszłych pokoleń, choć komponując poszczególne rozdziały powieści, nie wybiegałem myślami w przyszłość tak daleko, aby myśleć o czytelnikach - dzisiejszych naszych dzieciach albo wnukach. W każdym bądź razie musiałem na czas nieokreślony porzucić prace redakcyjne nad trzecim zbiorkiem opowiadań, co spotkało się z milczącym rozczarowaniem ze strony Agnieszki, wielbicielki mojej prozy, ale w końcu córka zrozumiała, że nie można robić zbyt wielu rzeczy naraz, jeśli ma się swoją pracę traktować poważnie i czerpać z niej satysfakcję.

Któregoś popołudnia wybrałem się na cmentarz, aby odwiedzić grób Marcza. Znajdował się w centralnej części cmentarza nieopodal starej kaplicy, rotundy zbudowanej na podstawie koła, z ołtarzem, dwoma krótkimi nawami i podestem, na którym wystawiano trumny ze zwłokami. Marczaowi zmarło się w „Jesieni życia” nagle, na zawał, w samym środku nocy, a pierwsza, o czym dowiedziałem się z ust dyrektora, natknęła się na tę śmierć Natalia, podówczas zatrudniona już w pensjonacie na pełen etat, co zresztą później stało się jednym z pretekstów do zorganizowania szerokiej kampanii skierowanej przeciwko dyrektorowi. Podczas nocnego dyżuru Natalia zazwyczaj dyskretnie zaglądała do pokoiw podopiecznych, sprawdzając wartość ich snów, a w kilku przypadkach towarzyszyła paniom z pokoju numer 12, które z

reguły miały problemy z zasypianiem. Do jedynego pokoju zajmowanego przez Marcza weszła czy to przypadkiem, czy też wskutek podszeptów podświadomości, która skierowała ją w to miejsce bez uzasadnienia, albowiem ten najstarszy mieszkaniec ośrodka nigdy nie uskarżał się na kłopoty z zaśnięciem; zasypiał błyskawicznie w pozycji horyzontalnej na plecach i w takiej samej budził się wczesnym rankiem. Właśnie sposób ułożenia ciała, w jakim odnalazła go uchylwszy drzwi od jego pokoju Natalia, wzbudziły jej niepokój; leżał na lewym boku z odchyłoną głową do tyłu, z napiętym jak łuk ciałem, a kiedy weszła do środka i podeszła do starego mężczyzny bliżej, zauważyła grymas bólu na jego twarzy i półzamknięte oczy powleczone białą, nieprzezroczystą woalką mgły. Dla Natalii była pierwsza śmierć, z jaką zetknęła się w pensjonacie. Przyjęła ją z obserwowanym z zewnątrz spokojem, lecz w środku odczuwała niewyobrażalny żal, jaki towarzyszy świadomości ludzi, którzy dowiadują się o stracie osoby najbliższej. Powiadamiając telefonicznie pogotowie i dyrektora, miała w oczach łzy, które jednak nie pociekły, nie rozlały się szerokim strumieniem po policzkach. Natalia z niezwykłą siłą i samozaparciem starała się zachować spokój, aby móc w wyważonych słowach przekazać informacje o śmierci Marcza pensjonariuszkom, które pobudziły się i po wyjściu ze swoich pokoi szukały wyjaśnienia przyczyny nadzwyczajnej krzątaniny na korytarzu, jaka zapanała w związku z tą przykrą wiadomością.

Tak nagłe odejście Marcza, odejście, którego nikt się nie spodziewał - stary człowiek nie narzekał na nic, poza tym, że nie miał już siły w nogach na długie spacerowanie - zaszokowało wszystkich, i personel, i stałych domowników; także dyrektora wprawiła ta śmierć w zdumienie, gdyż zaledwie wczoraj stoczył z Marczem zremisowaną partię szachów i nic nie wskazywało na to, że może się stać najgorsze. Dyrektor zjawił się w pensjonacie najszybciej jak tylko mógł i przyłączył się do grona osób, z których każda w swój własny, niepowtarzalny sposób cierpiała z powodu tej nieodżałowanej straty kogoś, kto cieszył się pośród pensjonariuszy

kto wie, czy największym szacunkiem. Na dyrektora spadł teraz obowiązek załatwienia wszystkich formalnych spraw związanych ze śmiercią Marczała oraz powiadomienie rodziny, która na domiar złego nie przesadzała z kontaktami ze starym człowiekiem i w związku z tym zachodziło prawdopodobieństwo, że wyszukanie tych kilku osób z rozpiezchniętej po całym kraju rodziny bliższej i dalszej może okazać się niewykonalne. Dyrektor wziął też na swoje barki problem, z którym, przynajmniej teoretycznie, mógł sobie nie poradzić, a mianowicie skłonienie dziekana i proboszcza parafii w Żytowie, aby ten pochował Marczała, starego komunistę po bożemu, w asyście katolickiego kapłana. Kiedy zaszedł do niego na parafię jeszcze tego samego dnia wczesnym przedpołudniem, oznajmił, co się stało i wyłuszczył niejaka tajemnicę starego człowieka skrywaną dotąd przed pensjonariuszami, nie zaś przed nim, dyrektorem, tajemnicę objawioną mu na jakiś miesiąc przed śmiercią, że pomimo ideologii w jakiej się wychował, żył i pracował, chciałby chociaż po śmierci połączyć się z Bogiem, proboszcz ani nie wykazał tym faktem zdziwienia, ani też nie uczynił niczego, co miałoby w jakikolwiek sposób wskazywać na niechęć czy wręcz odmowę organizacji chrześcijańskiego pochówku.

- Już tam Pan Bóg osądzi jego życie sprawiedliwie, a moje zdanie o tym człowieku jest takie, że zasługuje na katolicki pogrzeb bardziej niż wielu z tych, których systematycznie widuję na niedzielnych mszach. Przy całej różnicy poglądów, jakie dawały się zauważyć podczas naszych rozmów, a było ich więcej niż ktokolwiek z parafian przypuszcza, był to człowiek wielkiego serca i uczciwości i był takim w najtrudniejszych dla Kościoła czasie, czego nie sposób nie docenić.

I miał Marczał pogrzeb godny pamięci jaką po sobie zostawił, chociaż w kondukcje za trumną szły głównie starsze osoby, które starego komunistę pamiętały, szły za karawanem ciągniętym przez gniade konie także dzieci tych, którym Marczał osobiście pomagał, za którymi się wstawiał do władz, naciskał, ponaglał, używając swego wykraczającego poza granicę miasta i gminy autorytetu. Młodszym,

zwłaszcza tym, co przybyli znikąd, którzy urodzili się po to, aby negować przeszłość pod byle jakim powodem lub aby z nią walczyć na wszystkie możliwe sposoby, decyzja proboszcza podobać się nie mogła i z oburzeniem patrzyli na ciągnące za karawanem tłumy, pogardliwie obrzucając je złym słowem. Ten jednak na kolejnej mszy w kościele, podczas sumy, ośmielił się w homilii nawiązać do pogrzebu, wyjaśniając, że człowieka Bóg osadza po czynach, a nie deklaracjach.

- Czy, najmilsi, mam wam odczytać listę osób, które we wdzięcznej pamięci chowają tego, kto w czasach dla kościoła najcięższych, w czasach okrutnych i pełnych wzajemnej wrogości potrafił ponad ideologię, jakiej służył, wykazać się człowieczeństwem, nie bacząc na to, że za tę miłość do człowieka nie będzie klepany po plecach przez swoich. Życzyłbym sobie, abyście wy, którzy wstępujecie w życie publiczne, poruszając się po wyprostowanych ścieżkach historii najnowszej, mieli w sobie tyle odwagi, aby tak jak ten człowiek, nie oglądając się na poglądy, jakie wyznajecie, umieli zauważyć problemy tych, z którymi w tej ideologicznej podróży wam nie po drodze.

I jeszcze jedno zostało po paru miesiącach w kwestii uroczystego, katolickiego pogrzebu Marczała powiedziane i usłyszane z ust gosposi proboszcza. Otóż przyjechał był z pasterską wizytą do parafii biskup, do którego wieść o uhonorowaniu przez dziekana starego komunistę oczywiście doszła, lecz głosu na ten temat nie zabrał; być może czekał na właściwy moment, który pojawił się akurat w czasie wizytacji parafii. Gospodyni gotowa była przysięgnąć na krzyż, że pomiędzy kapłanami doszło podówczas do scysji i usłyszała wtedy proboszcza słowa skierowane do zwierzchnika, słowa, po których zbladła:

- Co ty mi będziesz tu pieprzył, biskupie, o jakiej słusznej walce prawisz? Toż gdyby nie Marczak, iluż to dawnych partyzantów nie obejrzałoby swoich domów po wojnie? A ten nasz kościół, gdyby pozostawiony był bez ochrony tego człowieka, o który bez ingerencji w to, co się w nim dzieje nie dla swoich przecież

ideologicznych celów zabiegał, ten kościół w tamtych czasach nie mógłby funkcjonować w sposób godny; infiltrowany byłby przez ubecję doszukującą się wszędzie zdrady i hardości parafian. Jedynie dzięki niemu obchodzono się z również ze mną w sposób należyty i mogłem dzięki temu pełnić swą posługę skierowaną dla całej społeczności.

Tak miał powiedzieć proboszcz, dzisiaj staruszek, emeryt, dożywający swych sędziwych lat gdzieś w podstołecznej rezydencji księży, którym i wiek i zdrowie stoją na przeszkodzie w wykonywaniu misji, której poświęcili niemal całe swoje życie. Ale ksiądz proboszcz przynajmniej dwa razy do roku odwiedza Żytowo, gdzie ze swej podwarszawskiej rezydencji bywa zabierany czy to przez parafian dysponujących własnym autami, czy też podwozi go któryś z młodych księży wracający ze stolicy do swojej parafii. Przyjeżdża, pierwsze kroki kieruje do gospodyni, dziś staruszki, potem zagląda na parafię, odwiedza obecnego proboszcza, przechadza się pomaleńku po miasteczku, a wszędzie serdecznie bywa witany i w końcu zachodzi na cmentarz, pali świeczki przed kwaterą księży i zakonnic, obchodzi groby, które doskonale pamięta, groby, przy których żegnał tych, których Pan Bóg zabrał z sobą na zieloną łąkę, pozostawiając po nich wspomnienie, żal, rozpacz i smutek; także odwiedza grób Marcza, przed którym stoję i wcale nie dziwię się temu, że za każdym razem kiedy przechodzę mimo tego grobu widzę świeżo ścięte kwiaty w wazonie i wyczyszczone, wypolerowane lastrico płyty i krzyża i myślę o tym szczególnym szacunku jakim tych dwóch ludzi się darzyło, szacunku na przekór głęboko porysowanej historii naszego prowincjonalnego grodu i okolic.

Przechodzę pod stary, jeszcze przedwojenny grób z kamiennym obeliskiem przedstawiającym anioła wznoszącego się wysoko, wysoko ku górze, ale jakby z niechęcią, anioła wzlatującego nad ląd dobrze sobie znany, który odprowadza tęsknym wzrokiem, a jego skrzydła nie są dostatecznie rozpostarte, jeszcze sklezione z tułowiem sprawiają wrażenie bezruchu. Na cokole obelisku napis:

„Nasza najukochańsza córka, Eliza, wzięta w ramiona Najwyższego, dnia piątego maja 1936 roku”. Odkąd sięgam pamięcią zawsze przystawałem przy tym grobie i w święta, i w dzień zaduszny, pozostawiając na kamiennej płycie, pomarszczonej i porośłej szczecina mchu czerwony, żółto płonący znicz. Nad napisem przytwierdzono owalnego kształtu fotografię w sepii - podobiznę dziewczyny, może dwudziestoletniej, o cudownie smagłej twarzy, głębokich brązowych oczach, włosach krótkich, spiętych w niewielki kok, odślaniających młodzieńczą, nieskazitelnie gładką i delikatną szyję. Ta, którą wziął w ramiona Najwyższy, była córką dziedzica, pana na włościach spod Żytowa. Od jej prochy leżą w tym miejscu w samotności, bo od przedwojnia nikt nie zna losu Emilii rodziców, natomiast na Wszystkich Świętych zawsze czyjeś dłonie pozostawiają przed obeliskiem kwiaty, a ja zapalam światełko.

- Wiedziałam, że znajdę cię tutaj, tatku - słyszę nagle za sobą przyciszony głos mojej córki. Odwracam głowę, nie skrywam zaskoczenia i dopiero po chwili przypominam sobie, że pozostawiłem w domu kartkę, na której napisałem, że po wyjściu z archiwum udaję się na cmentarz.

- Ty mi powiedz, tatku, czy ta kobieta naprawdę nie należała do naszej rodziny? - pyta Agnieszka, choć tyle razy tłumaczyłem jej, że przychodzę w to miejsce z całkiem innego powodu, że podobają mi się słowa wyryte w kamieniu, jakimi pożegnano Emilię, a i samo zdjęcie tej przedwcześnie utraconej przez rodziców młodej dziewczyny ciąży nade mną jak klątwa, jak unaocznienie niesprawiedliwości tego świata.

Nie odpowiadam. Obejmuję córką mocno swoim ramieniem i, co mam w zwyczaju robić, otwartą dłonią pocieram na wysokości ramion jej plecy.

- Wiesz, że ona mogła mieć tyle lat, co ja, kiedy umarła?

- Przestań. Nigdy nie myśl w ten sposób.

Nie powinna myśleć o śmierci. Nie ma do tego prawa. Nie wiem, czy to słuszne, ale w naszym domu o śmierci się nie opowiada, a jeśli już wspominamy zmarłych moich rodziców, ojca żony, babcię, dziadków

ciotki, wujków i dalszych krewnych, traktujemy ich nieobecność jako chwilową, jakby przebywali w sąsiednim pokoju i w każdej chwili...

Przechodzimy z córką dalej, do swoich, przystajemy, nie modlimy się a rozmawiamy, cichuteńko, kłaniamy się, kreślimy przed oczami znak krzyża, idziemy dalej, do kolejnego grobu, omiatamy dłońmi grobową płytę z opadłych kwiatostanów klonów i brzoź, poprawiamy zasuszone kwiaty w doniczkach, wymieniamy się myślami, że musimy tu przyjść jeszcze w tym tygodniu, aby zrobić porządek, przynieść nowe kwiaty, zapalić znicze, i że w ogóle przychodzimy do naszych zbyt rzadko, wychodzimy z cmentarza...

- Tatusiu, czy zgodziłbyś się, abym w długi majowy weekend, jeszcze przed egzaminem pojechała z Jarkiem i jego rodzicami w góry... to tylko trzy dni...

Mógłbym powiedzieć, że od tych spraw Agnieszka ma matkę - to ona organizuje nasze rodzinne życie, pomimo tego, że praca w butiku zajmuje jej połowę życia, ale w końcu powinienem być raz na zawsze zrozumieć, że jeśli córka przychodzi z taką nowiną właśnie do mnie, to widocznie ma do mnie zaufanie i chce, po prostu chce mnie informować o wszystkim; jak tu się nie cieszyć. Tomasz (mimo wszystko udał mi się ten chłopak) gdyby był na miejscu Agnieszki, zadzwoniłby do mnie prosto z gór i powiedziałby tak:

- Tato, nie mogłem przecież odmówić X wyjazdu z nią w góry, bo druga taka okazja może się nie trafić. Nie martw się o mnie, wrócę cały i zdrowy. Do mamy już dzwoniłem, ale wiesz, jak z nią jest; gdyby marudziła, to ją przekonaj, umiesz przecież to robić, a w podziękę przywiozę wam worek oscypków. No to się trzymaj i pisz ortograficznie.

W kogo to się wrodziło?

- Rozumiem, że jeżeli jedziecie w góry bezpośrednio przed egzaminami to znaczy, że będziecie jeszcze szlifować matematykę

- stwierdzam, ale jednocześnie po łobuzersku puszczam do niej oko i w dalszym ciągu obejmuję ją po kumplowsku.

- Obawiam się, że jesteś w błędzie. Zero nauki. Potrzebujemy

odpocząć, a ponadto...

Agnieszka potrafi zawieszać głos w odpowiednim momencie; każe mi domyślać się, co kryje się za tym „ponadto”. Moje spojrzenie domaga się uzupełnienia.

- Jarek chciałby nas odwiedzić. Oczywiście nie tak, jak przed tą studniówką. Chciałby oficjalnie poprosić was o wyrażenie zgody na ten wyjazd, to znaczy, żebyście mi pozwolili wyjechać.

- To bardzo ładnie z jego strony. A ty już się zgodziłaś w swoim i w naszym imieniu?

- Powiedziałam, że nie będzie z tym problemu.

- Więc jednak masz coś z Tomka, tej jego pewności siebie.

Spojrzała na mnie tak przymilnie.

Jak to jest, myślę sobie, robię tu jakieś ceregiele, a przecież Agniecha ma rację - nie będę jej robił problemu z tym wyjazdem. Katarzyna wprawdzie pogdera, powie, żeby przypadkiem nie wpadło im do głowy wybierać się wysoko w góry, bo będzie się zamartwiać, no i oczywiście przypomni córce, żeby przyhamowała trochę z tą swoją dorosłością, bo chociaż jej ufa, chociaż jadą z rodzicami Jarka, to lichy nigdy nie zasypia i lepiej dmuchać na zimne. W końcu i tak się zgodzimy, choć jeszcze rok, dwa lata temu takiej zgody by od nas nie dostała.

- W każdym bądź razie to znacznie lepiej jak poprosi nas o zgodę na twój wyjazd, aniżeli by miał prosić o twoją rękę.

- Oj, tatku.

- Mówię to z niejakim wyprzedzeniem i z przezorności, bo chociaż w n a s z y m domu panuje demokracja, to wiedz, że do wyrażenia tej drugiej zgody będziesz musiała nas należycie przygotować.

- Z całą pewnością to zrobię. Mój tatko jest spontaniczny, ale jednocześnie zasadniczy.

- Przy podejmowaniu ważkich decyzji, jak najbardziej.

Kierujemy się do domu w sielankowej atmosferze, do której wydatnie przyłożyła swoje serce córka. Myślę o niej, o obiedzie jaki przygotowała dla naszej trójki i wspominam.

- A ty, chłopaczku, co tutaj robisz?

- Podanie przyniosłem.

Strzępy tej rozmowy toczyły się na schodach licealnego budynku.

- A ktoś ty? Jak się nazywasz?

Odpowiedziałem.

- A mama jak się nazywa z domu?

- Kaczmarkowska.

- A, to dobrze. Już ja się tobą zaopiekuję. Harcerz?

Zastanowiłem się. Na koniec języka przypęzło kłamstwo, lecz z niego nie skorzystałem, słysząc jak ktoś z góry przywołuje mojego rozmówcę, tytułując go mianem „profesor”. Przemknęło mi przez myśl, że w obecności profesora nie wypada kłamać.

- Nie jestem harcerzem - odpowiedziałem.

- To źle, chłopcze, to źle, ale my cię tutaj do harcerstwa przysposobimy. Nie będziesz wyglądał jak to „rokoko skartowaciate”.

Tak, to był mój protektor, jeden z tych belfrów, który nauczał jeszcze moją matkę, zapalczywy geograf, korpulentny, niewysoki, zawsze starannie ogolony, z przyjaznym wzrokiem i, jak się później okazało, udawaną złością na twarzy wyrażającą się w jej mimice, grze całego ciała i energicznych gestach, bo pan profesor Popielawski był wielkim afirmantem młodzieży, a w szkole, poza zwykłymi obowiązkami, jakie wykonywał, przyuczał niesforną, a czasami też zalęknioną szkolną gawiedź do bycia społecznie aktywnym i użytecznym.

Zaraz też po powrocie do domu opowiedziałem matce o tym spotkaniu. Ucieszyło ją, że Popielawski jeszcze ją pamięta i obiecał pomóc w zajęciu się mną, nieokrzesanym prowincjuszem, który odbył nauki w zaściankowej wiejskiej, elementarnej szkole, której gdzie tam było do podstawowych uczelni miasteczka stojącego wszakże w tej prowincjonalnej skali o schodek wyżej.

Protekcja, o której wcześniej była mowa, nie dotyczyła czysto edukacyjnej strony moich starań o podtrzymanie rodzinnych tradycji w przedmiocie nabycia średniego wykształcenia. Moje podstawowe świadectwo, aczkolwiek nie bez

matematyczno-chemicznych rys w ocenach, przedstawiało się zgoła sympatycznie, co w końcu poskutkowało przyjęciem mnie do klasy B (A zarezerwowana była dla zaciętych, zagorzałych matematyków). A klas było cztery, co w sumie dawało wcale pokaźną studwudziestoosobową gromadkę nieopierzonych pierwszo-roczniaków.

Protekcja, że jeszcze raz powrócę do tego wieloznacznie brzmiącego słowa, miała zadanie oswoić mnie z przebywaniem w nowym, nieznanym mi otoczeniu, zważywszy na przekonanie moich bliskich i mnie samego, że jestem jednostką cokolwiek skrytą i nieśmiałą. I tak to już pozostało. Nie wyrośłem z tej nieśmiałości. Może nie w stosunku do wszystkich profesorów, do kolegów - absolutnie, ale wobec dziewcząt nabierałem dystansu, inaczej - chcąc nie chcąc odczuwałem ten dystans; onieśmialały mnie te młode, najczęściej urodziwe panny i jeżeli nawet rozmawiałem z nimi w sposób całkowicie naturalny, także o sprawach niezwiązanych z przedmiotem mojej aktywności w szkole, to nadchodził taki moment, kiedy w swoim wnętrzu purpurowiałem, głos mój załamywał się i nie byłem w stanie podtrzymywać dalszej rozmowy, albo też przekierowywać ją na inne, mniej damsko-męskie tematy.

Profesor Popielawski z kolei uczynił ze mnie osobę, która po zaistnieniu w licealnej społeczności pełnoprawnym elementem poddawany procesowi nauczania i ukulturowienia, doszła do przekonania, że świat nauczycielski nie jest bytem ani odizolowanym od innych bytów, ani też z racji swego znaczącego prestiżu nieskazitelnie doskonałym, z którym można, a nawet trzeba było wymieniać swoje poglądy nie tylko będąc wezwanym do tablicy w celu rozwiązania podlegającemu ocenia zadania.

- I znów zamyśliłeś się, tatku. Hej, hej, jesteśmy na miejscu.

Nasz blok, nasze mieszkanie na drugim piętrze. Żona mówi, że jeszcze rok, może dwa, a będzie nas stać na domek z ogródkiem, taki sam jak Anny, tyle że nowszy i z czterema sypialniami, a mieszkanie sprzedamy. Katarzyna ma zwykle świetne pomysły, ale,

co najważniejsze, panuje niemiłosiernie nad kasą, do czego ja nie mam żadnych kwalifikacji.

- No tak, zamyśliłem się - stwierdzam, gdy wspinamy się po wyślizganych schodach klatki schodowej.

- Ty nawet idąc piszesz - w głosie Agnieszki nie usłyszałem zarzutu.

- O czym tym razem myślałeś? - pyta.

- Hm... myślałem o szkole. Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, że właśnie kończysz szkołę, w której uczyłem się ja, twoja matka i moja mama?

- Naprawdę? Nie wiedziałam - śmieje się. - Dzisiaj na obiad jest pizza. Sama zrobiłam ciasto. Tylko spróbuj powiedzieć, że ci nie smakuje.

Rozdział 12.

- To prawda, gorączka odebrała mi siły, nawet do pewnego stopnia świadomość, ale nie wątpię, że uda mi się i z tej przygody wydostać, prawda, że to wielka zasługa Anny, która przy mnie była, ale myślałem cały czas o tym, że kiedyś spotkało mnie coś znacznie gorszego, a właściwie to rokowania były niepomysłne. Pan się pewnie teraz zastanawia, Adamie, do czego zmierzam; zaraz powiem, ale teraz napijmy się, ten koniak Kowalczyka smakuje mi jak żaden inny... może to po zjedzeniu tej grochówki na boczku... może.

Profesor nie zawsze decydował się na trzecią szklaneczkę trunku; zwykle starczały dwie. Mawiał, że pierwszą wypija, mając na względzie zalecenia lekarza (koniak wspomaga krążenie), drugą dla poprawy nastroju, a dzisiaj ta trzecia zdaje się po to, aby rozsuptać język, który chce, który wyjątkowo domaga się powiedzieć o czymś, do wypowiedzenia czegoś do tej pory nie był gotowy.

Byliśmy w jego pokoju zupełnie sami. Anna wyjechała do rodziny na wieś, a Kowalczyk, ten od koniaku, nie umawiał się na dzisiejszy wieczór; rozwiązuje podobno jakiś problem. Siedzimy zatem wygodnie wtuleni plecami w oparcia foteli, śmiejemy się, rozmawiamy, potem przechodzimy do kuchni, profesor odgrzewa grochówkę, wracamy do gabinetu, znów rozmawiamy. Profesor, który w kontaktach z ludźmi nie jest tak swobodny jak ja, akurat dzisiaj, może dlatego, że ze mną, a może z tego powodu, że nasza znajomość nabiera przyjacielskiego wymiaru pomimo różnicy wieku, zatracą podczas tej rozmowy dystans jaki przysługuje ludziom bardziej doświadczonym i mającym znaczący wpływ na innych. Mnie to odpowiada. Czuję się swobodniejszy, znajduję czas na zrobienie sobie drugiej kawy, a nawet na wypalenie papierosa na tarasie znajdującym się przy wejściu od strony ogrodu.

- Ja wiem, pan tego nie mówi, oszczędza mnie, ale niech pan przyzna, że zadaje sobie pytanie, po co to wszystko, czemu to ja, który przecież potrafi posługiwać się piórem, ba, tłumaczę Senekę, Horacego, mowy Cycerona, nie zdecydowałem się wziąć za tę powieść bez angażowania w nią nie tylko pana, ale też kilku naszych przyjaciół, o których pan jeszcze nie wie. A sprawa ta ma całkiem proste wyjaśnienie. Kiedy to ja pana zaangażowałem? Trzydzieści lat temu. Ileż to pan miał wtedy lat? No... niewiele, prawda? A potem była wielka cisza. Mogłem w końcu zacząć sam, ale ze mną, panie Karski to jest tak, że jeśli już coś postanowię, jeśli coś komuś obiecuję, to jedynie śmierć może mi w tym przeszkodzić... tak, jedynie śmierć - powtórzył, a ja w dalszym ciągu nie chwytalem sensu jego wyводу.

- Panie Adamie - zaczął ponownie po chwili przemyślenia, przetrawienia w sobie tego, co chciał, abym wiedział - ja na dwa tygodnie przed naszym spotkaniem w klubokawiarni czekałem na potwierdzenie wyroku śmierci. Tak, mój kochany, miałem stwierdzonego tego ze szczypcami i niewiele, jak sądziłem, życia przed sobą, a rzeczywiście chciałem tę książkę napisać, pobawić się w kronikarza, pozbierać materiały, porozmawiać z ludźmi. Miałem

cholerną potrzebę pisania, jeszcze kiedyś wyjaśnię panu, co mnie do tego skłoniło i napędzało. I widzi pan, po usłyszeniu tej diagnozy, jedynym rozwiązaniem wydało mi się wtedy odszukanie kogoś, kto weźmie ten mój pomysł w swoje ręce. Dzięki pani Zofii odnalazłem pana. Nie miałem jeszcze koncepcji, coś ledwie świtało mi w głowie, byłem niemal zdeterminowany, ale tych parę miesięcy, dodajmy letnich miesięcy, podczas których zmagalem się z chorobą, pogrążyło mnie, stoika godzącego się na wszelkie kaprysy losu; tych parę miesięcy dało mi porządnie w kość, stałem się tak bardzo bierny, nie rozpoznawałem samego siebie, bo wie pan, świadomość śmierci potrafi zniszczyć plany i marzenia, i właśnie wtedy pomyślałem sobie, że jedynie pan byłby w stanie dokonać tego, co tkwiło głęboko w mojej podświadomości. Chciałem pokazać światu nasze miasteczko, do którego przyjechałem w najpiękniejszym momencie swojego życia i powoli wrastałem w nie, zapuściłem w nim korzenie; Żytowo stawało się moje.... Widzi pan, w tamtych czasach, w początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku myślało się inaczej; cieszyła mnie moja praca, niewielkie mieszkanie, które wypełniałem książkami było dla mnie rajem, a świadomość, że wykonując zawód nauczyciela jestem w stanie pozytywnie ingerować w osobowość młodych ludzi, pobudzała mnie do dalszej pracy. Ideologizowałem się, chociaż nie znośłem stadnego życia; realny socjalizm był mi obcy, chociaż potrafiłem dostrzec w nim zalety. Widziałem szczerzy entuzjazm u młodzieży, którego nie sposób wyreżyserować w taki sposób, aby nie móc dostrzec w nim fałszu. Ale jako człowiek interesujący się historią cywilizacji wiedziałem, że w pewnym momencie ta rzeczywistość, z jednej strony okrutna i wypełniona frazesami, z drugiej zaś bardzo wciągająca, zwłaszcza młodych, ta rzeczywistość musi się kiedyś skończyć i pewnie dlatego postawiłem przed sobą dodatkowy cel - zatrzymać czas i przekazać go potomkom... to bardzo naiwne, głupie i pretensjonalne, prawda?

- Nie nazwałbym tego głupotą - sprzeciwiłem się - ale szczerze panu powiem, że nie rozumiem tego, dlaczego czekał pan z

realizacją swego pomysłu aż trzydzieści lat.

- Ja również nie znajduję właściwych słów, aby to wyjaśnić. Być może, panie Adamie, powodem była chęć życia, która pojawiła się po tym, jak zwyciężyłem w walce z nowotworem i to ona skłoniła mnie do tego, aby przeżyć swoje życie od nowa.

Przeżyć życie od nowa, myślę sobie wracając od profesora do siebie krętą drogą, idąc wschodnią stroną rynku, przechodząc pod oknem wychodzącej na ulicę kwiaciarni. Przystaję. Zatrzymuje mnie w tym miejscu brzmienie strun gitary. Oczywiście rozpoznaję te dźwięki, jak i też wiem, kto wydobywa je z klasycznego pudła, szarpiąc struny, wydające z siebie hiszpańskie flamenco. W którymś z pokoiów tej starej, niskiej kamieniczki siedzi Andrzej i ćwiczy ckliwe acz dynamiczne akordy, powtarzając wielokrotnie skomplikowaną technicznie frazę; za każdym razem przebiega palcami po strunach coraz sprawniej i dokładniej, osiągając w końcu niemal doskonałość w czystości brzmienia. Przysiadam na ławeczce nie opodal i przysłuchując się jego grze, zapalam papierosa. Na rynku nieliczni przechodnie. Muzyka, choć niegłośna, zagłusza pojedyncze rozmowy dopalającego się dnia, a w zasadzie nadciągającego mroku.

Andrzeja znam od lat, jeszcze od czasów swojego epizodu szkolnego (kto wie, czy nie były to przypadkiem najpiękniejsze dni w mojej tak zwanej karierze zawodowej). Trzy lata pracy w zapadłej wiosce jako nauczyciel szkoły podstawowej w zamierzonych czasach znaczyły dla mnie wiele; znalazłem się tam w gronie młodych, ambitnych i nieskalanych rutyną ludzi, którym wydawało się, że świat szeroko otwiera przed nimi drzwi, za którymi jawi się świetlana, barwna przyszłość, wprawdzie niewyrażająca się zasobnością portfela, ale w końcu stwarzająca przesłanki ku temu, aby z każdym rokiem dochodzić stopniowo do niezależności finansowej, a przy okazji móc realizować swoje marzenia (ktoś powiedziałby, że misję).

Andrzej uczył w wiejskich, gminnych szkółkach muzyki i plastyki, lecz nade wszystko dał się poznać jako młody i energiczny, nieco

pozytywnie zakręcony nauczyciel, który najlepiej wypełniał swoją misję w harcerstwie, na obozach, wycieczkach czy też zajęciach dodatkowych. Umiejętność gry na gitarze wzbogacona dodatkowo pasją malarską i rzeźbiarską (rzeźbił w kamieniu), jak i też świetny kontakt z dziećmi predysponowały go do pracy pozaszkolnej, do, jak to się pięknie mówi: rozwijania wyobraźni i zainteresowań uczniów, chociaż te dodatkowe zajęcia nie przekładały się na sferę materialną, ale Andrzej w gruncie rzeczy nie dbał o korzyści finansowe, przynajmniej do czasu, kiedy się nie ożenił.

Pierwszy raz spotkałem go na zebraniu nauczycieli szkół podstawowych, jakie odbyło się w gminie i od samego początku przypadł mi do gustu: wesół, uśmiechnięty, dowcipny, bardzo rozmowny, towarzyski i umiejący słuchać. W przerwach przeciągającego się w czasie zebrania grał na gitarze, uprzyjemniając nam wlokące się w nieskończoność chwile przeciągające się w usypiające godziny wypełnione apatią, niecierpliwością i zniechęceniem. Już wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania, a miało to miejsce już po zakończeniu zebrania, oczekując na ostatni autobus do miasta, udało nam się na osobności porozmawiać o sztuce, malarstwie, rzeźbie i poezji. W znacznej mierze to on prowadził tę rozmowę, dyktował jej tempo, zataczał coraz szersze kręgi swoich fascynacji światem sztuki, filozofii i literatury, przechodząc potem niepostrzeżenie do prozy życia, do skarg jakie wnosił pod jego adresem, ale też do nadziei, jaką się żywił w związku z uprawianą przez siebie profesją, do pragnienia założenia rodziny, do ustatkowania się u boku ukochanej osoby; a miał swoją miłość, jak się później okazało, nieodwzajemnioną, nie rozumianą przez rodziców jego wybranki, a zwłaszcza matkę. Przysłuchiwałem się i z pewną nieśmiałością, a także ze względu na to, że byłem pod wrażeniem tego, o czym mówił, wypełniałem własnymi wątkami jego opowieść, aby wreszcie odkryć przed nim, czy na razie zasygnalizować sprawy, które mnie, młodszego o rok, interesują i wypełniają niemal całe moje młodości, choć już nie nastoletnie życie.

Kontynuowaliśmy nasze rozmowy przy każdej nadarzającej się okazji: w szkole, na biwakach, obozach, wycieczkach; także w autobusie oraz na rozlicznych mniej lub bardziej oficjalnych imprezach, którym patronował jako ekspert muzyczny lub też proszony był o wykonanie na nich jakiegoś romansu albo podkładu muzycznego pod biesiadne i harcerskie pieśni. Nie ma co ukrywać, że zazdrościłem mu tego daru zjednywania sobie ludzi przy pomocy instrumentu (potrafił również grać na skrzypcach, flecie i fortepianie); jeżeli natomiast chodzi o jego pasję rzeźbienia i malowania, to akurat ten efekt jego talentu dostępny był dla wybranych odbiorców jedynie w jego własnym domu, w komórce, gdzie przechowywał swoje ukończone rzeźby i płótna czy na podwórzu, gdzie zwykle rzeźbił, a czasami i malował, rozmieszczając farbę na wyrysowanym uprzednio cienkim ostrzem ołówka szkicu. W jego kamiennych rzeźbach albo pojawiał się kunsztowny zamysł ponadczasowego piękna wzorujący się na antyku, albo też jego prace nosiły w sobie przesłanie zgoła formalne i abstrakcyjne. Długo i cierpliwie wykuwał w kamieniu owalne, kuliste i spiralne kształty przedmiotów i tworów przypominających przy uruchomieniu wyobraźni ludzkie postaci. Każda z jego abstrakcyjnych rzeźb miała stępione, wygładzone, elipsoidalne kształty; choć zimna w dotyku przywodziła na myśl obfitość kobiecych krągłości; innym znów razem skłaniała oglądacza do doszukiwania się w tych ożywionych ręką artysty kamieniach pierwiastków rodem z otaczającego nas wszechświata. Malarstwo Andrzeja miało swoje prakorzenie w twórczości Tamary Łempickiej, Egon Schiele i Amadeo Modiglianiego; szczególnie tego ostatniego, którego kobiece portrety uważał za po mistrzowsku oddające pojęcie piękna i wrażliwości, jaką i w sobie odczuwał. I on malował portrety młodych i starych kobiet w stylowych wnętrzach pałaców, ale też przed progami wiejskich chat, w ogrodach, na łące, nad wodami. Nie stronił też od martwej natury i, nader często, kwiatów, od pospolitych maków i kąkoli po wybujałe, wielobarwne chryzantemy, soczyste peonie,

monumentalne, surowe w formie kaktusy i róże, cięte, zanurzone w czeluści kryształowego wazonu i te krzaczaste, mniej okazałe, lecz zespolone w biały lub różowy kobierzec zamykający szeroką przestrzeń ogrodu wystawioną na działanie bladego jeszcze, porannego słońca. A w jego martwej naturze dopatrywałem się wpływu Paula Cezanne'a i nie miał nic przeciwko tym moim skojarzeniom, bo w samej rzeczy uważał Cezanne'a za mistrza tego rodzaju malarstwa, i poniekąd wzorując się na nim Andrzej komponował olejowe płótna, w których nie brak było wystylizowanych porcelanowych czar, szklanych karafek, glinianych, pokrytych kunsztowną ornamentyką i jaskrawą barwą wazonów, miedzianych i cynowych tac i pater, w które i obok których umieszczał kiście winnej latorośli, drobnoskóre mandarynki, masywne i pomarszczone pomarańcze, błyszczące w dziennym lub sztucznym świetle jabłka, pękate grusze, granatowe jagody, wygięte w łuk bladożółte banany i całe mnóstwo ziół, ziarenek pieprzu, słonecznika i włoskiego kopru. Strych w kamienicy, w której mieszkał i który zamienił na wystawienniczą salę, czy raczej na w miarę porządnie utrzymany „magazyn sztuki” pachniał farbą, ale też, z racji pomieszczonej w tym miejscu martwej natury, wszelakim owocem.

Aż któregoś dnia dowiedziałem się, że on, Andrzej, urodzony na wsi, w niewielkim przysiółku, z dala od miasteczka, w krainie biedy i rozpacz, gdzie podstawą chłopskiej egzystencji było hodowanie kóz i drobiu, gdzie nieurodzajna ziemia pozwalała się obsiewać prosem i żytem, rzadziej obsadzać ziemniakami, on, który z biedą i niepewnością jutra stykał się niemal na co dzień, on posiadał brata, starszego od siebie i dwakroć zdolniejszego, zarówno w rzeźbie jak i w malarstwie, brata, którego niepowtarzalny, naturalny talent, niewzmocniony niestety artystycznymi szkołami, równoważony był przez ciężką i nieuleczalną chorobę psychiczną, która kilkakrotnie kazała mu podnieść na siebie rękę, wzniecała gorączkę bólu na całym ciele, darła włosy, tamowała dopływ krwi do mózgu i wreszcie kazała mu krzyczeć, a był to krzyk długi, upiorny i niezagłuszony.

Ale zanim wydostał z siebie ten krzyk, po którym owładnęła nim żądza autodestrukcji i niszczenia wokół siebie wszystkiego, co znajdowało się w promieniu wzroku (także niedawny wytwór pracy jego rąk), brat Andrzeja tworzył na płótnie kapryśne, wielkie, zamaszyste, ekspresywne wizje własnych przeżyć, snów i niepokojów. Zaludniał płótno postaciami o niewyobrażalnie zdeformowanych kształtach, pejzaże przesyczone grozą, leśne uroczyska, błotne grzęzawiska, katakumby i płonące pochodnie ludzkich siedzib. Znać było w tych obrazach odważne i po mistrzowsku wykonywane pociągnięcia pędzlem; nie żałował farb, nasycając krwawą warstwę kolejną, ciemniejszą, brunatną; tę z kolei pokrywał następną, jeszcze bardziej ponurą, niemal czarną, po czym nakładał żółcienie i biel, którą niby woalką mglił poszarzałą całą powierzchnię obrazu, który teraz, w końcowej fazie twórczej ekspiacji sprawiał wrażenie, kiedy patrzyło się nań z oddali, pobitewnej pożogi nasączonej kłębowiskiem dymów. A jego rzeźby.... Znajdował na łąkach powalone, spróchniałe, pochylone wierzby albo dzikie grusze i siekierą, piłą lub dłutami wyorywał w korze, w kruchym, niezwykle trudnym do okietznania ostrymi narzędziami drzewie diaboliczne postaci o rysach niewieścich; wydobywał z żyjącej jeszcze materii podobizny świątków, nimf, dwu i trzygłowych syren, wreszcie ukazywał czterem stronom świata twarze bóstw pogańskich z wyłupionymi oczyma.

Wspominając tę niesamowitą opowieść Andrzeja o swym bracie, artyście samouku, obdarzonego zuchwałym talentem równym zachłanności choroby, na jaką cierpiał i która po kilku latach jego morderczego zmagania się ze sztuką zabrała mu w końcu życie, pomyślałem o tajemniczych, niewidzianych obrazach Anny. Czyżby i one nosiły w sobie piętno szaleństwa, i był to powód, dla którego wierna przyjaciółka profesora wzdragała się przed ukazaniem ich światu?

Z wnętrza korytarza zamkniętego od frontu szerokimi, drewnianymi drzwiami dochodziły dźwięki cygańskiego romansu, kiedy nagle za sprawą kobiecej dłoni uchyliło się jedno skrzydło

okna. Barbara poznała mnie siedzącego wciąż na ławeczce w bladym, żółtawym świetle palącej się latarni.

- A czemu nie zajrzy pan do nas? Nieładnie, panie Adamie - przemówiła do mnie, rozpraszając wspomnienia wałęsające się po mojej głowie.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że chociaż przed domem Andrzeja i Barbary znalazłem się przypadkowo, w dodatku skuszony muzyką, powinienem być po prostu wejść do środka i odwiedzić moich dawnych przyjaciół, gdy tymczasem przesiadując pod ich oknami, zachowuję się jak tajniak przysłuchujący się rozmowie osób podejrzewanych o popełnienie przestępstwa.

Na nic zdały się moje nieskładne wyjaśnienia i próby odłożenia wizyty na inną porę; porwany zostałem przez Barbarę, która opuszczając kuchnię, gdzie stała za uchylonym oknem, zeszła do korytarza, odryglowała zamek szerokich drzwi i zaciągnęła mnie do wąskiej sieni, a później do pokoju, w którym kończył akurat grę Andrzej. Zdałem w międzyczasie wykonać telefon do domu i powiadomić Katarzynę, że wrócę dzisiaj nieco później niż zwykle.

- Jest to pomysł wielce interesujący i chętnie podrzuciłbym ci kilka wątków z nie tak odległej wprawdzie przeszłości, ale tej, dotyczyła nas dwóch - zareagował na moją informację, nad czym obecnie pracuję.

- Z wielką chęcią włączyłbym do tej opowieści twoje wspomnienia - stwierdziłem - ale muszę przyznać, że obawiam się, czy uda mi się ogarnąć już zgromadzony materiał do książki, co oczywiście nie oznacza, że miałbym zrezygnować z twoich wspomnień.

- Ty tego nie potrafisz? Ty?

- Poszukuję wciąż jakiegoś klucza, a nie chciałbym podporządkować tej opowieści chronologii. Nie odpowiada mi koncepcja dziennika, kroniki, czy też wspomnień danej postaci spisanych od początku do końca.

- I słusznie. Rozproszenie wspomnień tylko pozornie utrudni odbiorcy percepcję całości. Myślę, że może nawet wzmocni jego zainteresowanie, natomiast ten klucz otwierający i zamykający

narrację jest w istocie ważny i musisz nad nim popracować. Uważam, że powinieneś spiąć klamrą swoje wspomnienia, umieszczając w książce jako naczelne twoje własne wątki, doprowadzając je do współczesnych czasów, to tego co tu i teraz odczuwasz, o czym myślisz, o to choćby do tej naszej rozmowy.

- Taka mieszanina przeszłości z teraźniejszością, tak? Opisuję jakiś dawny stan, wydarzenie i w pewnym momencie odczuwam znużenie, więc powracam do stanu obecnego, opisuję teraźniejszość, i znów po nasyceniu się nią, wracam do odleglejszych historii. To masz na myśli?

Potwierdził.

- A wracając do tematu - mówię - o jakich wątkach myślisz, mając na uwadze nasze wspólne wspomnienia, które życzyłybyś sobie odnaleźć w powieści?

- Oczywiście te nasze początki, nawiązanie znajomości, obozy, wycieczki, wspólne biwakowanie, tę zaprzyjaźniającą szkółkę z dwoma „hotelowymi” pokojami przeznaczonymi dla nauczycieli - straceńców, czyli takich, co to rzuceni na odludzie nie bali się niewygód koczowniczego niemal życia na tej wiosce, dysponującej jednym jedynym sklepem, w którym bywało ciepłe piwo i w obfitości owocowe wino, po wypiciu którego dostawało się zgagi. Pół roku tam mieszkałem, póki nie dostałem pracy w większej szkole, a ty...?

- Pomieszkiwałem od czasu do czasu, zwłaszcza zimą, kiedy nie mogłem z powodu zasp dojeżdżać kolarzówką. Zjeżdżałem okazją na sobotę.

- Zahartowały nas tamte czasy.

- Zahartowały.

- Bo ty tak dobrze tłumaczysz. Wszystko zrozumiałam.

Być może te właśnie słowa zaważyły na tym, że po roku polonistycznych studiów, których nie ukończyłem, po dwóch latach policealnej szkoły, która dawała całkiem niezły, popłatny, ale nieciekawy zawód, po odbyciu służby wojskowej powróciłem do młodzieńczych fascynacji, w czym widziałem swoją przyszłość,

jeżeli w ogóle wcześniej w wieku lat dziewiętnastu, po maturze, przyszłość swoją widzi się w wyraźnych, jaskrawych barwach.

Siostra miała się okazać wyrocznia i wróżką; utwierdzała mnie w przekonaniu, że warto spróbować po raz drugi.

Z drugiej strony, myślałem sobie, cóż to za zawód ten nauczyciel? Nic konkretnego. Podówczas opłacany niewiele, niczego konkretnego nie wytwarza, niczego, co chciałoby się kupić albo sprzedać, powiedzieć: oto proszę państwa jest coś, nad czym pracowałem, trudiłem się, wytworzyłem w pocie czoła i przekazuję teraz innym, tak jak piekarz - ten to ma satysfakcję, że jego bułeczki każdego dnia mile widziane na porannym stole, gdy kroisz je, smarujesz masłem, dokładasz wędliny, sera, dżemu, co kto woli, i zaspokajasz głód po martwej nocy i posilasz swój organizm przynajmniej do obiadu. Piekarz widzi natychmiastowe skutki swojej pracy... a nauczyciel? Może po latach, a i to nie każdy.

Jakoś w kwietniu to było, gdy wojsko zaliczyłem i już szykowałem powrócić do swojej poprzedniej pracy przy wiertarce, kiedy to przydarzyła szansa na to, aby cokolwiek w swoim życiu zmienić według zainteresowań i wcześniejszych ambicji, słowem miała się wydarzyć niespodzianka w tym życiu szarym i ponurym.

Na wsi głębokiej, z dala od szosy zrobił się nauczycielski wakant; nieco ponad pół etatu dla wufmiena, z zajęć praktycznych i parę godzin polskiego. Dla tych co to nie bardzo z edukacyjnym tematem zapoznani trzeba koniecznie dodać, że były onegdaj takie czasy, kiedy nauczycieli potrzebowano, zwłaszcza na wsi spokojnej i głuchej, gdzie szkoła jako taka znaczyła więcej niż teraz i mniej znała się na biurokracji, więcej polegała na obowiązku i wychowaniu. Najważniejsze było to, aby kto w ogóle zechciał na tej prowincji przez Pana Boga zapomnianej, dzieciśka uczyć, aby nie były one samopas puszczane jako te krowy na pastwisko, aby nie szwendały się bezcelowo, kiedy nie czas po temu, aby wreszcie czegoś tam w życiu się nauczyły, co im się w tym właśnie życiu przydać może albo i powinno.

Były takie czasy, kiedy nauczyciel ucząc takie kapuściane, ale jakże

wdzięczne głowy, czas swój poświęcał bez oglądania się na to, ile przy okazji zarobi, a i wśród rodziców miał poważanie. Ci, a zwłaszcza tacy, których pociechy wielkiego zacięcia do nauki nie miały, czekali tylko okazji, aby opiekuna ich dzieci ugościć należycie, tudzież wynegocjować sprawiedliwszą ocenę albo wyjątkowe takiego wisusa traktowanie

Takie to były czasy.

Trafiłem do szkółki oddalonej o 10 kilometrów od miasteczka, w którym mieszkałem. Pojawiłem się w niej zgodnie z umową, przed ósmą, podjeżdżając rowerem pamiętającym czasy Szozdy i Szurkowskiego.

- To znaczy, że rowerem będzie pan dojeżdżał? - zapytała w pewnym momencie dyrektorka, gdy finalizowaliśmy sprawy mojego zatrudnienia. - A zimą?

Właśnie kwestia dojazdu stanowiła najważniejszy wątek rozmowy z dyrektorką.

- Póki dam radę, będę dojeżdżał rowerem. Zimą, autobusem z przesiadką albo...

Okazało się, że w tej szkółce, w tym budyneczku niewielkim były dwa pokoje, oddzielny dla panów i pań, w których to uczone młode głowy płci obojga spędzały jakże miło czas od poniedziałku do piątku, aby powracać w domowe pielesze jeszcze w piątkowy wieczór lub, częściej, w sobotnie przedpołudnie. Tak też i mnie objęły zaproponowane przez panią dyrektor warunki pracy i zakwaterowania. Co by nie mówić - zgodziłem się, z satysfakcją się zgodziłem, bo też urzekł mnie romantyczny klimat wioski, ludzka serdeczność, a nade wszystko cwana uprzejmość dzieciaków, wyrażająca się między innymi w przekrzykiwaniu się nawzajem podczas pozdrowień, jakimi witano mnie, nowego nauczyciela.

- Jestem zdeterminowały, aby pracować tu jak najdłużej - zapewniłem panią dyrektor, która, jak się zorientowałem, dążyła do posiadania w miarę stabilnej kadry pedagogów, co w przypadku młodych ludzi rzuconych w miejsce, gdzie diabeł mówił dobranoc nie było tak oczywiste - a ta szkoła znajduje się w naprawdę pięknym

miejscu. Podoba mi się tutaj.

- Tak pan sądzi? Ja żadnych atrakcji nie widzę - dyrektorka szkoły studziła moje zapęły. - I jeszcze jedno: od września weźmie się pan do nauki. Skieruję pana do studium nauczycielskiego. Polonisty, drogi kolego, bardzo mi brakuje mi brakuje, gdyż pani od polskiego w przyszłym roku odchodzi na emeryturę.

- Z wielką przyjemnością - odparłem.

- Zatem do roboty.

Była więcej niż konkretna. Dostał niemal cały etat i wychowawstwo w zastępstwie.

- Gdyby miał pan jakieś problemy, proszę się z nimi zwracać do pani K., która będzie pana opiekunką i nauczy pana konspekty pisać i właściwie przygotowywać się do lekcji. Do mnie też zawsze może pan przychodzić... i bardzo proszę, aby się pan pytał, czego nie wie. Zrozumiał pan?

Czemu miałbym nie zrozumieć.

Zostałem zatem puszczone na głęboką wodę, nie mając krztyny doświadczenia w pracy z dziećmi, lecz wyposażono mnie w kapok, a i koło ratunkowe zawieszone było na podorędziu i do rzucenia gotowe.